№ 1 Warszawa, dnia 26 Grudnia (7 Stycznia) 1881/2 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Il Polacco. — Do*** (wiersz). — Wycieczka do Blańska, Punkwy i Macochy w Morawii. — O hypnotyzmie czyli tak zwanym magnetyzmie zwierzęcym. — Korespondencya z Paryża. — Nowe wydawnictwa. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: To było obłąkanie. Przez Henryka Cauvaine.

IL POLACCO.

NOWELLA

przez

Bogumiła Aspisa.

WOJCIECHOWI HR. DZIEDUSZYCKIEMU,
zasłużonemu pracownikowi na niwie literatury ojczystej,
skromny ten upominek poświęca

AUTOR.

I.

Kto był w Wenecyi, wie że u przystani Placu Św. Marka stoi zawsze, osobliwie latem, mnóstwo gondoli, służących do przewożenia na plac czy to samych Wenecyan, czy też podróżnych, którzy, jedni i drudzy, najczęściej pod koniec dnia skwarnego, przybywają tu by otrzeźwić się przechadzką po podłodze tego wielkiego salonu, mającego za sufit otwarte niebo, za ścienne draperye frontony pałaców, a za chłodzące sorbety powiew miłego wietrzyka, którym tu się rzeźwisz wtedy, jak wodą źródlaną, błogosławiąc morze, co go nasyła.

Wiadomo jest również temu, co zna Wenecyą, że taras przystani, o *której* mowa, służy za stałe prawie pomieszkanie, pewnej liczbie osobników męzkiego rodzaju, *którzy*, gwarząc wesoło, mimo że są biednie odziani ani nie wyglądają wcale na sytych, podbiegają wszyscy natychmiast do brzegu, sboro tylko ujrzą kogoś przybywającego łódką, lub też chcącego odpłynąć z powrotem, aby mu podać dłoń do oparcia i przewoźnikowi jego dopomódz przy gondoli. Są to poprostu żebracy miejscowi, którzy wstydząc się, jak to ma miejsce u nas, wyciągać bez ceremonii rękę po jałmużnę, starają się w ten sposób od nieznajomego wyprosić grosz sobie na chleb powszedni.

Przed kilkunastu laty, w jednym z dni bardzo skwarnych, na początku miesiąca sierpnia, przed południem spore grono takich ubogich wylegało się leniwie, w cieniu galeryi Pałacu Dożów i tak zwanego Królewskiego Pałacu, rozmawiając gwarno, śmiejąc się i dowcipkując, jakby podczas uczty jakiej bogatej. *Gondolierzy*, siedząc w białych łódkach, na wodzie, lub też przechadzając się w bliskości nich po placu, mieszali także głosy swoje do tej gawędy, rozprawiając rezolutnie i na żarty często grube, odpowiadając jeszcze grubszemi.

Wówczas jedyne tylko indywiduum nie dzieliło tu tego powszechnego humoru.

Był to chłopiec lat może około 20, wysokiego wzrostu, szczupły, mizernej twarzy, choć bardzo przytem regularnej i sympatycznej, odbijał całą postawą swoją rażąco od reszty współtowarzyszy, co go otaczali.

Delikatna białość cery, jakkolwiek przyćmiona znacznie opalenizną, nie czarne lecz niebieskie oczy pod czołem i blond włosy, które mu przykrywały głowę, czyniły tę różnicę jego od innych, bardziej jeszcze w oczach każdego widoczną. Oparty samotnie o jedną z dwóch wielkich kolumn, dźwigających na sobie latarnie morskie i zajmujących środek nadbrzeża, stał patrząc wytrzeszczoną źrenicą na wodę, i tylko, gdy od czasu do czasu wiaterek powiewał ztamtąd nagnany przez fale, pił go prawie wtedy chciwemi ustami, jakby pragnąc jego chłodem nie twarz i nie ciało, a wewnętrzną spiekę duszy złagodzić.

Nie uważał też, co się dzieje dokoła niego, mimo że już dawno był żartów przedmiotem.

— E! *il Polacco* strasznie coś smutny! po kąpieli, co mu sprawił dzielny *Giuseppe*, w *Grando Canale*, dzisiejszego ranka, mówił jeden z przewoźników, wskazując na chłopca, do drugiego, co się huśtał obok niego na gondoli.

— Bo też, co to jemu mierzyć się z *Giusepp'em* kiedy idzie o podanie ręki pięknej *donnie!* odpowiedział ten ostatni, szczerząc duże zęby.

— Z podaniem *łapy* mniejszaby jeszcze, ale... kiedy idzie o dostanie *centesima!* ozwał się z pod filaru pałacu Dożów głos jakiś gruby, niemiły, ochrzypły, pochodzący jakby z gardła pijanego człowieka.

— Właśnie też, co chciałem i ja powiedzieć, wtrącił inny, sąsiad tego, gamoń ospały. Makaron teraz droższy od pięknych *donn* nawet, a i pomarańcze zdrożały coś bardzo.

— *Per Bacco!* mądrze mówi, zaśmiał się znów inny, z nosem czerwonym, mocno zatabaczonym.

— Przyznam ci się, Francesco, rzekł jeszcze chłop młody, obrosły jak rozbójnik, z ognistemi oczami, że ta donna, ku której rzucił się il Polacco, warta była chyba dobrej pomarańczy... Jabym ją podsadził do gondoli darmo.

— *E! va!* jaki mi grzeczny! odezwał się na to, siedzący w blizkiej łódce pod nakryciem przewoźnik. Musiałeś się dziś najeść sałaty z musztardą, kiedyś taki gorący do usług donnom. Alboś może chłypnął winnej polewki?...

— Jakbyś zgadł, odparł tamten, patrząc w stronę łódki. A tobie co? zazdrość? krokodyle gardło!... Wygodniś, schował się oto pod płótno gondoli, jakby się bał opalić, a drugim przygania. Tobie bo się podobać chyba zdechłej kurze. Ty, ze skórą białą kobiety nie weźmiesz!

— A to ci go indyczy, odezwało się na to kilka głosów znowu z pod galeryi pałacu. *Nasz* się broni dobrze. Brawo, Giacobo. Nie dawaj się myszy. Porajemy ci za to donnę jak śmietanka! He! he! he! zaśmieli się potem wszyscy, nie słuchając już wcale, co gadał przewoźnik.

I nastała cisza na kilka sekund, po której ktoś znowu odezwał się z dołu:

— Ale też ta Signora, co zrana pojechała

miękkie ma serce i całkiem miodowe! Chyba to wcale nie nasza *Italiana?* Pamiętacie, jak krzyknęła na ładnego Giuseppa, kiedy ten zepchnął chłystka do wody? jak il Polaccowi podała rękę, kiedy ten nie mógł się wygramolić? i jak zaczęła języczyć Giuseppa?

— Właśnie, właśnie, zabrzmiało chórem parę głosów, z innego znów kąta pałacowej galeryi. Słyszeliśmy... a jakże!... i to nas zgorszyło!... Damy my jeszcze temu przybłędzie! damy za Giuseppa! wygrażał się naprzemiany to ten to ów ze strony, pokazując pięścią w kierunku kolumny.

— Bo juści przybłęda! powtórzyło kilku gestykulując podobnie rękami. Niewiadomo zkąd wziął się w Wenecyi tu, i u nas! i jeszcze centesimi z przed nosa nam zabiera!...

— Jeszcze tłoczy się pierwszy, niby król jaki!

— A donny tak podsadza, jakby je chciał ściskać!

— He! he! he! — roześmieli się znowu wszyscy.

I nie wiemy, dokądby jeszcze trwały te żarty, gdyby nie przybycie jakiejś gondoli z gościem, do której się odrazu cała rzuciła rzesza

Czy młody nasz słyszał ostatnie głosy drabów, czyli też że zajęcie się jego czemś innem było aż do tego stopnia głębokiem, dość, że on jeden pozostał tylko w miejscu i za innymi do brzegu nie pośpieszył.

Po niejakim dopiero czasie, gawiedź co śmiała się z niego, otrzymała w nim nowy, niespodziewany a stokroć już właściwszy do żartów materyał. Oto nagle — gdy wszyscy załatwiwszy się już z panem, który w gondoli na plac wylądował, popowracali na dawne miejsca, — młody, nazywany dotąd il Polacco, zszedłszy z pośpiechem ze schodów kolumny, podbiegł do brzegu — w mgnieniu oka się rozebrał i—odzież grubym wałkiem obwinąwszy w koło szyi, rzucił się wprost do wody, jak... pies myśliwski, któremu pan jego powie krótko: „apporte!"

Zapluskały fale, bryzgnąwszy deszczem kropel na kamienne płyty brzeżnego tarasu... Woda gładka przed chwilą, zaczęła się marszczeć długiem piórem po drodze, którą znaczył pływak... Głowa jego sterczała dość długo jeszcze nad szerokiem zwierciadłem Wielkiego Kanału... aż nareszcie, po za ścianą dużego okrętu, co stał na kotwicy zasłaniając widok, ostatni ślad chłopca znikł z przed oczu patrzących i — wszystko na kamiennym brzegu przystani wróciło do stanu w jakim było przedtem... Oprócz, że kolumna, co służyła dotąd za oparcie temu, który odpłynął, samotnie już teraz patrzała wślad za nim, w daleki przestwór nieba i morza!

II.

Obłoki i ziemia dalekie są od siebie!... Przestrzeń mieszcząca się pomiędzy niemi, zawiera dla oka... prawie *nieskończoność!* Zwrócisz twarz w górę — tak tam wysoko! chcesz przejrzéć niezmierność tej strasznej doli — znaleźć gdzieś granicę tej próżni błękitnej — oprzéć myśl tam na czemś, co *stałe*, co *pewne* — — daremnie!

Uczeni mówią ci wprawdzie o planetach tam jakichś — o światach! Ty im wierzysz: ale wierząc — czujesz jednostajnie — jak do światów tych od ciebie wysoko! daleko!... i pytasz się mimowoli: czy one są jeszcze?

Oko tymczasem wskazuje ci tam same gazy!... kolory! — mgły zwodne! — światełka! — mamidła! Wszystko to zjawia się i zaraz przemija... przemienia się — przerabia — błyska — i niknie! Wszystko to cię dziwi i trwoży razem!

Jednakże, patrząc w ten świat niepewny, — ty, robak ziemi, wyrosły z ziemi, czujesz, że masz ją zawsze pod nogami; że, jakbykolwiek straszyło cię niebo, — ty znajdziesz zawsze na niej oparcie.

Ale — są gorsze położenia jeszcze dla człowieka!.. dla wyobraźni jego!... dla ciała!...

Obłoki — — i *woda!*...

Tam gaz — tu płyn jakiś trochę cięższy od gazu!... Zresztą — te same cienie — błyski — zmiany — mamidła!...

Rozpacz cię porywa, gdy sobie pomyślisz, że ciało twoje, ono, które na ziemi szuka dla siebie zawsze podpory, ono ma teraz na tafli tej zwodnej z mgły, z pary, z promieni samo się utrzymać!

Przywykły mieć zawsze grunt pod stopami, ty sięgasz wtedy nogą głęboko! chciałbyś choć końcem palca dotknąć czegoś, coby ci dało dawne bezpieczeństwo!...

Nurzasz się! — chciwe zapuszczasz w dół oczy i — szukasz niemi najmniejszych śladów ziemi!

Daremnie!...

Przepaść! ciągła przepaść tylko!... niezmierzoność!... zupełnie taka, jak nad tobą! Wisisz pomiędzy dwiema próżniami, z których jedna pustsza i większa od drugiej! Tam... *nic*, tu *woda* i... Ratuj się teraz!

Takiem było położenie młodego śmiałka, który, zeskoczywszy z brzegu przystani, bez zdania sobie sprawy, czy pływać dość umie, dał się unieść falom zanadto daleko, i spojrzawszy teraz dokoła siebie, ujrzał się nagle... na pełnem prawie morzu!

Mówimy „prawie" — boć nazwy tej właściwie nie można by dać jeszcze morskiej topieli, odległej na wiorst parę od suchego lądu.

W każdym razie, bezpieczeństwo naszego bohatera nie było przeto ani na włos większem. Mniejszem było jeszcze, niźli być mogło ile że ten nie wiedział, iż droga do miejsca, do którego teraz zdążał przez wodę, wytkniętą była na niej przez dwa szeregi pali, wbitych w dno i sterczących wyraźnie nad powierzchnią.

Ale — ślepi są od tego, by... mało widzieli! Nasz zaś bohater dotkniętym był ślepotą, gorszą może od wszystkich innych na świecie, tą co w języku nie lekarzy lecz poetów, zwie się jednym wdzięcznym wyrazem: „miłość"!

Rzecz gorsza, że choroba co nim zawładnęła, wzięła go nagle i — jak to mówią: *szturmem!*

Jak pożar, w mgnieniu oka zajęła mu zmysły, weszła potem w najskrytsze zakątki duszy, rozniosła gorąco po całem jestestwie i... rozdmuchana przychylnym wiatrem fantazyi oraz szału młodości, stała mu się siłą niszczącą prawdziwie. Był jeszcze jeden przychylny żywioł, który ją rozszerzył!... O tym się dowiemy.

Więc... nasz bohater zabłąkał się jeszcze, jakby na domiar ostatni nieszczęścia: popłynąwszy odrazu w niewłaściwym kierunku, znalazł się o pewną przestrzeń zbyt na prawo od szlaku, co prosto prowadził do celu, dokąd go teraz dusza i serce niosły!

Celem był klasztor t. z. ormiański księży katolickich, niedaleko Wenecyi, wsławiona na świat cały niegdyś siedziba nieśmiertelnego wieszcza: Lorda Bajrona!

Tam popłynęła jego droga donna!... ona, której tylko raz spojrzéć trzeba było, aby już jej oczy świeciły jak dwie gwiazdy na zawsze, w myślach tego co na nią wzniósł swoje!... *ona*, która pierwsza uścisnęła mu rękę, kiedy świat cały dręczył go tylko!... która jego, biedaka — żebraka — sierotę od śmierci prawie wyratowała!... Byłoż warto!... Rzecz wielka — gdyby żebrak zginął!...

„Adio"! — rzekła...

„Povere"! — szepnęła...

A głos jej!... a jej uśmiech!... a to uściśnienie!...

O ileż razy chciałby tak jeszcze zepchniętym być w przepaść ręką Giuseppa! tonąć tak pod dnem łodzi, gdzie ona stała i tak być przez nią znów uratowanym!...

Głupstwo więc morze! przepaść! śmierć w przepaści!... „Utonę — to utonę!" „I tak, co mi po życiu'?" —

W tej chwili duża fala chlusnęła na niego... Podniósł ją okręt, co w dali mknął przez morze... Oblała mu całe usta i głowę!... Zaszamotała nim, jak wiechciem!... Nie zakołysał się na niej a—zamiotał!...

Siły jego wcale nie były wielkie. Zaledwie osechł po niedawnej kąpieli, aliści po dwóch zaledwie godzinach, znajduje się w nowej i gorszej dali!

Robił piersiami dość ciężko już oddawna... Pływak dobry przynajmniej wiedziałby tyle, jak ekonomizować na dalszą pracę siły...

On słabym był pływakiem, i nawet... lichym!

I dalekoż jeszcze do tego klasztoru?... Jakoś nic podobnego do niego nie widać!... „Tam *Lido* na lewo!... tam — wysepka z zamkiem!... tam — inna jeszcze, której już nie znam!... ale klasztoru wcale nie widzę... Poznałbym go przecie zdala po krzyżu!"

Tak myślał w sobie, tak rozważał w duchu, tak mówił do siebie — i... płynął dalej!

Przez instynkt szczęśliwy — zwrócił się nieco na lewo... „Miała jechać z klasztoru prosto na Lido" myślał sobie... „Przynajmniej tej strony trzymać się będę..."

Wiatr jakiś zabełkotał powierzchnią morza... tu i owdzie pokazały się plamki piany białej po falach...

Burza na Adryatyku daje zwykle w ten sposób znać o sobie...

„Miałażby mnie nie minąć i ta rozrywka jeszcze?"

„Dobrze! — tem lepiej!... Porwie mnie bałwan jaki i odrazu pod stopy mojej donny ciśnie!"

„O gdybyż!..."

I płynął dalej.

Nową wiorstę po morzu zrobił znowu w ten sposób...

A siły jego zmniejszały się znacznie...

A rękami pracował coraz wolniej i trudniej... Przyszła mu chęć raz oddać się całkiem na fal wolę — — złożył ręce na piersi — ciałem się cały opuścił — wstrzymał oddech i przymknął oczy... snać, aby własnej śmierci nie widzieć!

Szedł na dno, pacierz odmawiając ostatni...

W wodzie — o dziwna ironio złudzeń! po drodze do grobu — przez przymknięte powieki ujrzał odrazu... modrzewiowy dworek, wysokich kilka topoli przy nim, krzyż z męką Zbawcy przy białej drodze, za drogą wioskę ze studnią z żurawiem, gniazdo bocianie na wysokim słupie, dalej dziką gruszę w samotnem polu, las duży wreszcie co podpierał niebo i... łąkę przy nim, całą pełną kwiecia!

(D. c. n.)

Do***.

Gdybyś słyszał wśród pogody,
Zwiędłej róży skargę rzewną:
Jak żebrze o kroplę wody,
Aby ujść przed śmiercią pewną:

Gdybyś ujrzał w mroźnej porze,
Zbłąkaną siostrę jaskółek,
Co pod oknem twem na dworze,
Zda się błagać o przytułek:

Ptak miałby pomoc w potrzebie,
Róża kroplę wody latem,
Czemuż nie jestem dla ciebie
Biednym ptaszkiem, zwiędłym kwiatem?

Emilia.

WYCIECZKA

DO BLAŃSKA, PUNKWY I MACOCHY

w Morawii.

W ostatnich latach wapienne jaskinie na Morawii zwróciły na siebie powszechną uwagę. Już od roku 1879, komisya przedhistoryczna c. k. akademii nauk w Wiedniu, obrała sobie za zadanie zbadać ze stanowiska geologicznego i przedhistorycznego jaskinię *Krtyński Wypustek* zwaną. O jaskini tej wspominano już w XVII wieku i szerzono o niej najnieprawdziwsze wiadomości, uważając ją za jakiś labirynt pełen strasznych i niezgłębionych przepaści. Przy bliższem jednak zbadaniu, zdołano zdać sobie sprawę z jej układu i rozmiarów i znaleziono mnóstwo kości zwierząt przedpotopowych, przeważnie Niedźwiedzia Jaskiniowego.

Naukowe prace komisyi i przygotowywane dzieło d-ra Henryka Wankla, które obejmie sprawozdanie z jego 32-letnich niezmordowanych badań przyrody Morawskiej, zajmie bezwątpienia szersze koło czytelników i zapał do pracy na tem polu i tak już rozbudzony, podtrzyma i wzmocni. Już w roku 1879, dr. Krzyż, który w młodości swojej z wielką gorliwością zwiedzał i badał jaskinie morawskie, wzbogacił literaturę czeską wybornym ich spisem p. t. „O niektórych jaskiniach Morawskich i ich podziemnych wodach". Uczony ten przedsiewziął 3 sierpnia 1880 r. wyprawę do *Wielkiego Wychodu* rzeczki Punkwy, chcąc rozpoznać czy z biegiem jej można się dostać do przepaści Macocha zwanej i oznaczyć niepojęty dotąd jej charakter. O następstwach tej wycieczki poniżej mówić będziemy.

Drugiego lutego 1880 r. odkrytą została obok dawniejszych jaskiń Słupskich, jaskinia stalaktytowa, tak samo Słupską nazwana,—dotąd nie przestaje ona ściągać tłumy odwiedzających, których zachwyca pięknością swoją.

O jaskini „Piekarnia", położonej o trzy godziny drogi od Berna, pisał Jan Łasowski, a o „Dirawici" i o „Wilczej jaskini", Kudelka. Te ich prace zwróciły uwagę publiczną i są ważnym przyczynkiem do dziejów przedhistorycznych czeskiej krainy.

I rzeczywiście, te wszystkie jaskinie zasługują pod każdym względem na sławę jaką zyskały. Obok naukowych skarbów jakie się w nich okazały, zachwycają oko podróżnego malowniczością położenia, rozmaitością i wspaniałością dolin w których się znajdują. Wystarcza jedną z nich zwiedzić, aby niezatarte wrażenie piękności tamtejszej przyrody w duszy swej zachować. Bujna zieloność, bogata roślinność, ruch i życie wokoło, dodaje im niezwykłego wdzięku.

Dlatego też jak tylko lato nastaje, liczni miłośnicy pięknej przyrody dążą do starożytnego miasteczka Blańska i doliny Punkwy, która wraz z przepaścią „Macocha" jest jakby punktem środkowym całego tamtejszego wapiennego gór łańcucha.

Blańsko znane ze sławnych hut żelaznych książąt Salm, jest także miejscem zamieszkania d-ra Wankla, który posiada prawdziwe muzeum utworzone ze zbiorów w jaskiniach Morawskich zdobytych. Są to wszystko bardzo cenne zabytki z epoki przedhistorycznej. Dolina Punkwy, sławna swojemi skałami pełnemi dzikiego wdzięku i romantyczności, a ożywiona bystrą rzeczką, która burząc się zimą i latem, chłodne swe wody do Świtawy niesie. Wreszcie głęboka przepaść Macochy, pełna grozy i tajemniczego uroku. Ku niej to już od stu lat zdążają podróżni, od pierwszego wejrzenia zakochani w tym niezwykłym utworze przyrody, jedynym w swoim rodzaju w całem państwie Austro-Węgierskiem. Z nią się też zrosła poezya narodowa, tworząc powieści o pochodzeniu jej nazwy, a widok tej otchłani tyle wzniosłych i pięknych uczuć wzbudza, że jej wspomnienie nigdy się nie zaciera, i gdy nie można znowu jej oglądać, to się przynajmniej myślą i duchem do niej powraca.

Starożytne miasteczko Blańsko położone jest o pół godziny drogi od stacyi Blanenskiej, nad rzeką Świtawą, w rozkosznej okolicy. Dzieli się na stare i nowe Blańsko, ma 289 domów i blizko 2800 mieszkańców, okazały kościół farny i zamek książąt Salm-Reinferscheidów, a jego spokojne i czyste domki otoczone zielenią, miły widok dla oka przedstawiają.

W zamku książąt Salm mieszka dr. Henryk Wankel, który swemi cennemi naukowemi rozprawami i dziełami, niezmordowanem badaniem jaskiń wapiennych Morawii, a głównie swojemi odkryciami geologicznemi i archeologicznemi z czasów przedhistorycznych, oraz zbiorami muzealnemi szeroko zasłynął nietylko w świecie uczonych. Mówiąc o jego nauce, wspomnieć także należy o niezwykłej grzeczności i uprzejmości z jaką gości odwiedzających go przyjmuje, zbiory swoje im pokazuje i objaśnia; byleby tylko spostrzegł, że prawdziwa chęć nauki i zamiłowanie przyrody kieruje pytaniami które mu zadają, odpowiada na nie z pośpiechem i naobszerniejszemi objaśnieniami. To też znani i sławni już uczeni, młodzież ucząca się bliższa i dalsza, liczni turyści ze wszystkich krajów opuszczają sławnego antropologa wdzięczni za przyjęcie a zachwyceni tem co u niego widzieli i słyszeli.

Zbiory d-ra Wankla znajdują się w obszernym pokoju i są po większej części umieszczone w szklanych skrzyniach, opatrzonych numerami, napisami, i rozdzielone według epok z których pochodzą. W dziale pateologicznym pierwsze miejsce zajmuje kompletny szkielet Niedźwiedzia Jaskiniowego, złożony przez samego doktora z kości poznajdywanych w rozmaitych jaskiniach. Spoczywa on na wielkiej czarnej podstawie noszącej napis: *Ursus spelaeus giganteus.* Widok tego szkieletu napełnia nas podziwieniem. Jakaż to musiała być siła i groza tych przedpotopowych zwierząt. Zajmujący jest także bardzo zbiór zębów tegoż zwierzęcia począwszy od pierwszego zawiązku czyli zęba embryonalnego, a kończąc na potężnych zębach starych niedźwiedzi. Obok tego widzimy zbiór przedstawiający rozwój przyrządu słuchowego tychże potworów dawnego świata; dalej straszliwy szkielet olbrzymiego kota jaskiniowego, (*felis leo spelaea*), dolna szczęka hyeny jaskiniowej, czaszka tegoż samego olbrzymiego kota i t. p. Większa część tych przedmiotów pochodzi z jaskiń Słupskich.

Niemniej ciekawe są okazy paleopathologiczne, czyli szkieletów i kości noszących ślady chorób, którym ulegały, a które podobne są do dziś istniejących. Widzimy więc tam oprócz różnego rodzaju chorobliwych uszkodzeń kości i czaszkę Kota Jaskiniowego z wielką szramą w tylnej swej części, oraz inne zajmujące rzeczy tego rodzaju.

Najbogatszym jednak jest zbiór przedmiotów kamiennych, bronzowych, żelaznych i glinianych. Oprócz tego, znajdują się tu młotki i broń z kości wyrabiane. Pochodzą one przeważnie z *Byczej Skały* i z *Wypustki Krzyńskiej.* W Byczej Skale odkrył dr. Wankel w 1871 r. pod warstwą piasku, na trzy metry głęboką, a prócz tego pokrytą warstwą stalaktytów, mnóstwo rozmaitych naczyń i przedmiotów z kości koni, reniferów i żubrów. W drugiej zaś części tejże samej jaskini znalazł w głębokości 2 do 3 metrów, obszerną przestrzeń widocznie przeznaczoną do składania ofiar, wśrodku której znajdowało się palenisko. W zwęglonej warstwie leżała broń i naczynia metalowe, ozdoby i klejnoty złote, bronzowe, szklane i bursztynowe, resztki spalonego zboża, tkanin i t. p. rzeczy. Wkoło tego paleniska nagromadzone były liczne szkielety: ludzkie i zwierzęce. Z tego odkrycia pochodzą właśnie w zbiorze d-ra Wankla dwa ludzkie szkielety, jeden żeński z naramiennikami bronzowemi a złotemi pierścieniami na ręku; czaszka do niej należąca, leżała nieopodal na dwoje rozbita,—szkielet męzki obok niej znajdował się. Prawdopodobnie pochodzą one z V lub VI wieku. Wśród wielu drogocennych wykopalisk, które trudno szczegółowo wyliczać, zasługuje jeszcze na uwagę kamień ofiarny i mały posążek wołu Apisa.

Widok tego zbioru jedynego może w swoim rodzaju wywiera silne wrażenie na zwiedzających go, a zarazem daje miarę żelaznej wytrwałości i głębokiej wiedzy sławnego antropologa i paleonthologa czeskiego.

Opuszczając pamiętne to muzeum z uczuciem najwyższego zadowolnienia i wdzięczności dla uczonego, który całe swoje życie poświęcił nauce, a głównie badaniu jaskiń Morawskich, idziemy obejrzeć drugą miejscowość Blańska godną poznania: *Wielkie żelazne huty książąt Salm.*

W hutach leżących po największej części w dolinie Arnosztowej, dniem i nocą panuje ruch nieustanny; ztamtąd wychodzą te najrozmaitsze wyroby żelazne ku przeróżnym celom służące, które tak w kraju jak za granicą cieszą się zasłużonem powodzeniem. Bywają one często przez turystów zwiedzane. Pozwolenie na to z łatwością się otrzymuje od głównozarządzającego hutami, warto więc abyśmy i my choć w krótkości z niemi się poznali.

Najwięcej kuźni znajduje się w dolinie Arnosztowej, z wyjątkiem wielkich pieców *Paulinen hütte* i *Klamhütte*, przez lud *Klamowką* zwany, gdzie ruda żelazna topiła się w piecach koksem opalanych. Ale położenie ich było tak niepomyślne, również dla handlu jak i dla przemysłu, że od kwietnia 1874 r. istnieć przestały.

W dolinie Arnosztowej najbliżej kolei leży ludwisarnia *Marina* (Marienhütte), która ma wielki piec opalany koksem i cztery inne piece. Odlewają się tam wszelkie składowe części machin, walce, rury kanałowe a obok tego nagrobki, pomniki, krzyże żelazne, płoty ogrodowe i wszelkie inne żelazne przedmioty.

Wody Punkwy poruszają tam wszystkie koła i młyny oraz zasilają machiny parowe, i w nader ciekawy sposób sprowadzone zostały na ten użytek do ludwisarni. Cyfry tylko mogą dać pojęcie o wielkości i czynności tych fabryk, lecz te również jak szczegółowy ich opis mogą tylko zająć ludzi fachowych, więc je pomijamy a spieszymy do doliny Punkwy, którą z kolei obejrzeć mamy.

Zaledwie tam wstępujemy, zmienia się fizyognomia kraju i przyroda odziewa się w nową krasę, w nowe wdzięki. Jakiż to zachwycający widok! Jak daleko oko zasięgnąć może, rozkoszna dolina przed nami się roztacza. Zdaje się, że płucom lżej oddychać, nie tęskni się ani za towarzystwem, ani za gwarem lub rozmową, ani też za zabawą, pragnie się być samym, aby módz się nacieszyć tym tajemniczym urokiem natury. Gwar i łoskot fabryczny nie dochodzi tutaj i ustępuje miejsca głębokiej ciszy, która w około panuje. Tylko szmer srebrzystych wód Punkwy mile ją przerywa, a od czasu do czasu dochodzi odgłos piły trącej drzewo. Cienisty las ciągnie się wdłuż brzegów Punkwy i czasami tak się do niej zbliża, że gałęzie drzew zwieszają się po nad nią, i cień rzucają na przejrzyste jej wody, a tworząc po nad ścieżką, która się tam wije, jakby wiązanie liściastego dachu, nie dozwalają promieniom słońca przez nie się przecisnąć. To znowu las się cofa, rozszerzają się brzegi rzeki i otwiera się przecudny widok na całą dolinę. Tu ciągnie się zielona łączka różnobarwnemi usiana kwiatami, tam bryły kamienne mchem obrosłe, jak gdyby je Punkwa z łona swego wyrzuciła; dodają wdzięku temu obrazowi, tu znowu wije się ona tuż koło drogi, a oto już skrywa się przed wzrokiem naszym, po za krzakami rosnącemi na jej brzegach fantastycznie załamanych.

Wkrótce zaczynają się ukazywać wapienne skały, a okolica staje się jeszcze wspanialszą i bogatszą w piękne krajobrazy. W coraz to nowych kształtach wznoszą się skaliste szczyty, a coraz ich więcej i coraz groźniejsze przybierają kształty. Tu ogromne głazy wiszą nad głową przechodniów i zdają się grozić upadkiem, tam znowu podmyte działaniem wód podziemnych lub potokami od deszczów wezbranemi, potworzyły się urocze groty zachwycające oko podróżnika.

Do najpiękniejszych miejscowości tej doliny, tak miłośnicy przyrody jak i malarze zaliczają: *Piłę, Skały gemz* i *Młyn górski.*

Piła jest to tylko mały domek zamieszkany przez tracza, lecz w dziwnie malowniczem położeniu będący. *Skały gemz* wznoszą się nieopodal od górskiego młyna i tworzą jakby olbrzymią bramę w ciasnym wąwozie. Jedna z nich ma zupełnie kształt wieży. Wreszcie *Młyn górski* przyciąga nas wdziękiem swoim i skłania do odpoczynku. Odpoczywamy zatem w drewnianym pawilonie z którego widok najsilniejsze sprawia wrażenie. Na ścianach pawilonu spostrzegamy mnóstwo rozwieszonych fotografii i obrazów z napisami i podpisami, świadczącemi o wdzięczności i zadowolneniu licznych podróżnych, którzy zwiedzając tę okolicę znaleźli tu wygodny odpoczynek lub schronienie w czasie burzy i deszczu. Srebrzysta Punkwa, tak dzielnie zasilająca zakłady hutnicze i fabryczne w dolinie Arnosztowej, i życie tego młyna utrzymuje, nigdy mu wód swych nie skąpiąc.

O pięćdziesiąt kroków po nad młynem wznosi się *Willa Salmów*, piękny jednopiętrowy budynek na zielonej łączce, w stylu szwajcarskim. Z balkonu, który cały domek okala, przecudowny widok się roztacza na dolinę i jej fantastyczne skały. Jest to miejscowość na wskroś romantyczna.

Najciekawszem jednak jest miejsce około *Wielkiego ujścia*. Im więcej ku niemu się zbliżamy, tem węższą staje się dolina, tem więcej skały zbliżają się ku sobie jak gdyby chciały drogę zatarasować. Wtem zatrzymujemy się, gdyż niespodziany widok nas uderza.

U stóp prostopadłej skały po prawej stronie się wznoszącej, ukazuje się woda, jak gdyby z tej skały wypływająca, chociaż ta zdaje się do samej ziemi dotykać i żadnego w niej nie widać otworu. Na pierwszy rzut oka wydaje się także iż to woda stojąca, tak na niej żadnego nie widać ruchu, ale dość rzucić listek aby się przekonać o błędnem mniemaniu — listek popłynie dalej a nawet dość szybko. Miejsce to, w którem Punkwa wydobywa się z wapiennej skały i tworzy jakby mały stawek, nazywa się *Małem ujściem*, a właściwą jego cechą jest właśnie ten spokój i pozorna wody nieruchomość. O kilkanaście kroków ztamtąd rzeczka znowu szumi, burzy się, kłębi, skacze wesoło po kamieniach, a rozdzieliwszy się na dwa ramiona oblewa ładny zielony ostrów, aby znów połączywszy się, dalej płynąć.

Idąc od Małego ujścia w kierunku północnym, napotykamy mnóstwo kamieni leżących wzdłuż drogi, jakby to było łożysko jakiej dawnej rzeki. Kamienie te Punkwa naniosła. Na wiosnę, w czasie roztopów, zamienia się ona w szalejący i groźny potok. Gwałtownie podmywając skały, unosi oderwane od nich kamienie i ściele niemi drogę swoją.

Postępując tem kamiennem łożyskiem spostrzegamy jedną po drugiej trzy groty w skale wyżłobione. W pierwszej znajduje się woda stojąca; rzuciwszy w nią kamień przekonaliśmy się, że jest dość głęboką. Druga wody nie miała, a stanąwszy u wejścia trzeciej, usłyszeliśmy silny łoskot jakby z wnętrza skały pochodzący. Wyszliśmy na skałę, aby się przekonać czy po drugiej stronie nie ma jakiego silniejszego prądu, któryby ten łoskot wywoływał. Lecz niceśmy nie zobaczyli, gdyż była to zawsze tylko Punkwa, która wystąpiwszy na powierzchnię ziemi, w mniejscu zwanem *Wielkim Wychodem*, poniżej niego znowu na kilka minut znikała pod wapienną skałą i tylko łoskot jaki z wnętrza dochodził, zdradzał tam jej obecność.

Prąd jej nie jest jednak tak silnym jak to po huku sądzićby można: huczy tak silnie dlatego tylko, że uwięzła między pustemi ścianami skały i że spadek tu jest znaczny. Nieco wyżej, zatrzymujemy się u miejsca w którem Punkwa wypływając z Wielkiego Wychodu, po raz pierwszy i ostatni gubi się w tej dolinie pod ogromną skałą. Lud zowie to miejsce *Zapadem*. Czasem, gdy Punkwa zbierze i wyleje, fale jej unoszą kłody drzewa po drodze zabrane, i te tak mocno wciskają się w skałę, że gdy woda opadnie z największą trudnością wydobyte być mogą.

Teraz już jesteśmy blizko *Wielkiego Wychodu*. Wielki Wychód jest to miejsce w którem Punkwa przebiegłszy dnem *Macochy*, i odbywszy dotąd nie rozpoznaną podziemną drogę, po raz pierwszy w dolinie od jej imienia nazwanej, na światło dzienne się ukazuje. Po nad *Wielkim Wychodem* wznosi się ogromna wapienna skała i tworzy jakby bramę na 3 metry wysoką a na 11 metrów szeroką, przez którą spokojnie, leniwie i jakby nieśmiało Punkwa wypływa. Zdaje się niby zmęczona swoim ponurym podziemnym biegiem, że potrzebuje nieco czasu, aby przyjść do siebie, ze światłem słońca się oswoić i nowych sił zaczerpnąć do dalszej podróży.

Już Hertod w swoim opisie Morawii w 1669 r. mówiąc o biegu Punkwy, wspomina o tej miejscowości i toż samo uważa: że pozornie woda w tem miejscu jest stojącą, lecz dość rzucić listek aby się przekonać, że bieży i to nawet dość szybko. Brzegi jej porastają cienistemi i wysokiemi drzewami okrytemi bujną zielonością i ślicznie się odbijającemi na gładkiej wód powierzchni. Tutaj się też kończy dolina Punkwy, a że ta miejscowość jest tak bardzo uroczą i że podróżni z żalem od niej się oddalają, wzniesiono więc na trzydzieści kroków od brzegu ładną altankę z kory, w której wszyscy idący do *Macochy*, lub od niej powracający, miły i pożądany odpoczynek znajdują. Dodać jeszcze należy, że woda Punkwy jest tak smaczną, chłodną i rzeźwiącą, że jej na raz kilka szklanek wypić można; to też w czasie letniego skwaru miewa licznych bardzo odwiedzających, a w dnie świąteczne i muzyka nawet tu się pojawia i uprzyjemnia tę przechadzkę już i tak bardzo miłą.

Wielki Wychód Punkwy był świadkiem niezwykłego widowiska w d. 3 sierpnia 1880 r. W tym, bowiem dniu dr. Krzyż przedsięwziął wyprawę w celu rozpoznania biegu Punkwy, dawniej już raz uskutecznioną bardzo starannie i dokładnie. Wtenczas szło mu o to czy można się dostać Punkwą aż do Macochy i czy od Macochy ma jakie ujście, ale przekonał się, że pierwsze jest niemożebnem, a drugiego zbadać nie był w stanie, tak ze wszech stron i na taką głębokość Macocha skałami jest otoczoną. Teraz zaś chciał się dowiedzieć jak daleko od Wielkiego Wychodu popłynąć można podziemiem.

Dr. Krzyż, który we wszystkich swych wyprawach dowiódł nieustraszonej odwagi, niezmiernej wytrwałości, nie cofając się przed żadnemi trudnościami, nie zaniedbywał jednak wszelkich starań i ostrożności, aby wyprawom swoim, o ile to jest w ludzkiej mocy, zapewnić pożądane skutki i rzeczywiste z nich korzyści osiągnąć.

Ponieważ woda w Punkwy ma tylko od 6 do 7 stopni ciepła, przeto niepodobieństwem jest pływakowi utrzymać się w niej dłużej jak godzinę i dlatego dr. Krzyż kazał przygotować dwie tratwy, jedną dla siebie, drugą dla pomocnika swego, Horaka, również jak on zamiłowanego w badaniu przyrody i gotowego do przezwyciężenia wszelkich trudności. Zaopatrzyli się także w ubrania, które ich miały utrzymać na powierzchni wody w razie jakiego przypadku i przysposobili sobie wszystko co się przydać mogło w takiej podziemnej wyprawie. Wypłynąć mieli o godzinie 12 z południa, ale wóz, który wiózł te wszystkie przybory, z powodu błota i ciągłego deszczu, spóźnił się o trzy godziny, tak że dopiero o 4 dr. Krzyż i towarzysz jego puścili się w drogę. Czas nie sprzyjał naszemu uczonemu, ulewny deszcz ani na chwilę nie ustawał przez cały ciąg wyprawy. Podczas gdy puszczano tratwy na wodę, dr. Krzyż przebrał się w stosowne ubranie. Opasał się pływackim korkowym pasem, włożył prócz tego pasy kauczukowe dla wszelkiego bezpieczeństwa i pewności że nie utonie. Głowę okrył mocnym blaszanym heł-

mem, aby się zabezpieczyć od uderzeń o ścianę lub o strop skały, przymocował do tratwy wielką woskową pochodnię któraby rozświecała podziemne ciemności i zaopatrzył się w małą siekierkę.

(D. c. n.)

O HYPNOTYZMIE
czyli tak zwanym magnetyzmie zwierzęcym.

Dwa odczyty D-ra Brunera wygłoszone 13 i 15 grudnia w sali ratuszowej.

Od czasu pojawienia się na naszym horyzoncie Donata megnetyzera, a razem i szarlatana napełniającego swoje kieszenie zebranemi pieniędzmi, kwestyą magnetyzmu zwierzęcego zaczęli się interesować więcej i nasi uczeni.

Pierwszy profesor dr. Ochorowicz, badający te rzeczy już od bardzo dawna, na posiedzeniach naukowych we Lwowie przedstawiał rozmaite warunki magnetyzmu zwierzęcego a nadając nowej tej nauce racyonalność istnienia, pobudził wielu kompetentnych i niekompetentnych do zajęcia się tą kwestyą.

Magnetyzm zwierzęcy zaczął się szerzyć na seryo w Warszawie. Magnetyzowali dyrektorowie ogródków, usłużna kawalerya i t. d., magnetyzowali wszyscy, aż wreszcie dr. Bruner wystąpił w ratuszu z prelekcyą o magnetyzmie, która ściągnęła do sali licznych słuchaczów.

Dr. Bruner rozpoczął swoją prelekcyą historyą magnetyzmu. Wskazał on, że Indyanie i inne starożytne narody znały już tę siłę, którą wyzyskiwano jako środek podtrzymujący władze i potęgę chciwych zysku kapłanów; a przeszedłszy w kilku ogólnych rysach dawną i odległą przeszłość, zatrzymał się głównie nad przyczyną, która tak wpłynęła na zajęcie się ostatniemi czasy magnetyzmem.

Pierwszym, który uśpione nasze europejskie społeczeństwo pobudził i zainteresował tym przedmiotem był Mesmer.

Urodził się on 23 maja 1773 roku w Stzmang, nad jeziorem Konstancyjeńskiem wedle jednych, wedle innych w 1734 r. w Merseburgu w Szwabii, nauki początkowe pobierał w Dillingen i Ingolstacie, poczem udał się do Wiednia, gdzie studyując medycynę, w roku 1766 otrzymał stopień doktora. Rozprawa inauguralna: *„de planetarum influxu“* stała się początkiem rozgłosu jego imienia; utrzymywał on w niej, jakoby ciała niebieskie wywierały ogromny wpływ na istoty ożywione za pośrednictwem jakiego subtelnego płynu przenikającego wszystkie ciała, a napełniającego ogromną przestrzeń wszechświata. Siłę tę nazwał magnetyzmem zwierzęcym, i zastosowawszy ją w medycynie, ogłosił to nowe odkrycie w czasopiśmie p. t. *Sendschreiben an einen auswärtigen Arzt über die Magnetcur* (w 1775 r.). Praca ta zrobiła mu taką sławę, że elektor bawarski mianował go członkiem akademii w Monachium i zaprosił do zamieszkania w swojem państwie. Lecz Mesmer niedługo tam pozostawał. Wkrótce powrócił, do Wiednia i założył szpital, aby tem rozpowszechnić swoją metodę. Widać jednak nieświetnie mu się tu powodziło, kiedy już w 1778 roku znajdujemy go w Paryżu, gdzie korzystając z łatwowierności Francuzów, zjednał sobie liczną partyą fanatycznych stronników, pomimo silnego protestu potępiających szarlataneryę uczonych, który wkrótce tak nieznacznym i bezskutecznym się okazał.

Baron Breteuil w imieniu Ludwika XVI, ofiarował Mesmerowi płacy dożywotniej 20,000 fr. i 10,000 fr. na najem lokalu, z warunkiem urządzenia w niej kliniki magnetycznej. Jednakże Mesmerowi okazało się to wynagrodzenie zbyt nieznacznem. Odrzucił więc prozozycyą i wolał przyjąć składkę ofiarowaną mu przez najzapaleńszych jego zwolenników, która uczyniła okrągłą sumę 340,000 fr.

Wprawdzie zwolennicy jego położyli jeden warunek swej szczodrobliwości, a mianowicie zażądali aby on swoją naukę im ogłosił i udostępnił dla wszystkich; Mesmer jednak nie uczynił tego, przez co utracił zaufanie, a widząc upadającą swą powagę, wyniósł się do Anglii, a potem wkrótce powrócił do Niemiec gdzie zmarł prawie w zapomnieniu zostawiając po sobie licznych następców, którzy uprościwszy metodę, wiele więcej wywierali wrażenia niźli ów ich mistrz za pomocą swojej kadzi napełnionej żelaznemi opiłkami.

Od Mesmera więc możemy datować wzrost tej nauki, którą nawet początkowo od pierwszego jej założyciela, nazywano mesmeryzmem.

Przez ciągłe używanie tej siły, która w różnych czasach przekształcała się znacznie i coraz prościej jej zjawiska zostały przedstawiane, wytworzyła się nowa gałęź i nowy rodzaj nauki somnambulizmem zwany.

Somnambulizm jest to sen, w którym uśpiony chodzi, mówi, i t. d. jak na jawie, poczem zupełnie traci pamięć. Czasami determinacya somnambulizmu znaczy toż samo co jasnowidzenie (clairvoyance) co też w dalszem toku rzeczy trzeba rozróżniać.

Stopnie somnambulizmu są bardzo rozmaite. W niektórych przypadkach działalność zmysłów zewnętrzna zdaje się być wcale wygasłą. Oko jest zupełnie nieczułe na światło najbardziej rażące, ucho — na głos najmocniejszy. W innych znów razach jeden lub więcej zmysłów zachowuje wrażliwość na podrażnienie zewnętrzne, czasami na płody literackie i kompozycye muzyczne.

Wogóle dotąd jeszcze nie mamy somnambulizmu dokładnie rozwiniętego i niezbadany on jest fizyologicznie.

Póki jednak magnetyzmem zwierzęcym zajmowali się szarlatani, póty też jak twierdzi sz. prelegent, nauka odnosiła jak najmniejsze rezultaty.

Jednakże i ta ostatnia niedługo dała czekać na siebie, a do pierwszych głośniejszych uczonych, badających ten przedmiot ściśle, możemy zaliczać doktora James Braid, który w dziele *O hypnotyzmie czyli śnie nerwowym* twierdzi, że nie tylko wzrokiem, ale i każdym błyszczącym przedmiotem umieszczonym przed środkową linią twarzy w odległości 8 do 15 cali angielskich, jeśli się medium będzie w niego ciągle wpatrywać, to po kilku minutach wpadnie w stan podobny do katalepsyi, czyli w szereg objawów okazujących pewną utratę przytomności i czucia, a głównie wprowadza w kurczowe naprężenie prawie wszystkich mięśnie, przechodząc następnie zwykle w tak zwaną woskową giętkość (*Flexibilitas cerea*) wskutek której, każdy staw chorego wprowadzony w jakiekolwiek, nawet niezwykłe położenie, w takowem przez pewien przeciąg czasu zostaje.

Dowodzenia swe dr. Bruner poparł szeregiem licznych objaśnień.

Trzy wykształcone medium przez sz. prelegenta były w niektórych razach bardzo zajmujące, a p. Bruner dociekł wiele nowych rzeczy, o których Donato jeszcze zupełnie nie wiedział.

Pierwsza prelekcya wywarła niezwykłe wrażenie na licznie zebranej publiczności, zwłaszcza że magnetyzowanie bardzo dobrze i szybko udawało się d-rowi Brunerowi. Kobieta usypiała za wpatrywaniem się w świecący przedmiot lub w własne oczy za pomocą lustra. Pan M., drugie medium d-ra Brunera, wsłuchując się w jednostajny takt wahadła zegarowego, lub wreszcie przysłuchując się silnemu głosu kamertonu. Największe wrażenie wywarł na publiczność rozkaz pana Brunera, aby jego medium porwało czapkę p. N. Dr. Bruner przebudził medium, które natychmiast spełniło w magnetyzmie otrzymany rozkaz.

Straszne następstwa, za które posłuszne a zarazem niewinne medium nie powinno odpowiadać,— gdyż przyczyna stanęła po za jego świadomością, obudziła nową groźną kwestyą dla społeczeństwa i prawodawstwa.

Spekulant magnetyzer, jak wnosi sz. prelegent, może w każdym razie rozkazać swemu medium spełnienie zbrodni, a ono spełni ją niezawodnie.

Dziwniejsze jeszcze rezultaty dały nam badania dokonane przez d-ra Brunera. Magnetyzując, albo raczej usypiając on jedno swoje medium, rozbudzał tylko jedną połowę, kiedy druga, zostając pod wpływem innego magnetyzera, była uśpioną. Następowały prawdziwe zmiany mięśni na twarzy. Jedna połowa była zupełnie tak jak sparaliżowaną, kiedy inna żyła.

Wreszcie wprowadził sz. prelegent swoje medium w stan kataleptyczny, a nawet nie usypiając, potrafił wywołać kurcz na jednej lub też na obydwóch rękach.

Doprawdy do ogromnych doszedł rezultatów, a jednak nauka jeszcze jest w zawiązku... nie kiełkuje nawet. Jest to ziarno świeżo zagrzebane do roli.

Co jest magnetyzm i jakie są jego przyczyny jeszcze nam nauka nie wyjaśniła. Mnie się zdaje, że nie jest to nic innego, jak do najwyższego stopnia podniesiona imaginacya lub wyobraźnia. Dr. Bruner fizyologicznie tłomacząc tę rzecz przypisuje wprost zmęczeniu umysłu, ale o tem tak śmiało wyrokować jeszcze nie można.

Rzecz swoją dr. Bruner oparł na uczciwych studyach i bez wątpienia, że przy pracy wiele rzeczy jeszcze wyjaśnić będzie można; chociaż trzeba tu zaznaczyć, że w drugiej prelekcyi medium nie słuchało w zupełności rozkazów sz. prelegenta, który dwukrotnie nakazując mu liczyć nieparzyste liczby dwukrotnie usłyszał: raz, trzy, *cztery*, pięć, siedm, *ośm* i t. d.

Dr. Władysław W.

16 Grudnia.

Komitet Dobroczynności uprosił p. Makowieckiego, który wygłosił prelekcyą *O ważności spisów jednodniowych.*

Sz. prelegent podniósł ważność spisów jednodniowych, poprzedziwszy rzecz swoją historyą spisów w Chinach, Indyach, Egipcie, Palestynie i t. d. aż do naszych czasów. P. Makowiecki wszelkiemi siłami starał się rzecz swoją przybrać i urozmaicić. Przeszedł on kolejno wszystkie rubryki w tematach, które rozdano delegowanym i mówił o ważności każdej z osobna. Rzecz była specyalniej wygłoszona dla delegowanych i przewodniczących, niźli dla szerszej publiczności. Delegowani je-

dnak nie skorzystali, a i publiczność niezbyt chętnie pospieszyła, aby posłuchać rozbioru tej kwestyi na czasie, którą zmuszeni jesteśmy bliżej rozpatrzyć.

Spis jednodniowy, jak utrzymuje sz. prelegent, nie ma celu zadość uczynić tylko ciekawości ludzkiej, ale są inne statystyczne potrzeby, które taki jedynie a nie inszy spis może wyjaśnić. Potrzeby te z góry przewidziane, wpłynęły na budowę szematu, a są one następującej treści:

Najpierw wykażą stan naszej ludności, a opisując dokładnie sposób wyżywienia, będzie można dojść łatwo jak jest podzielony stosunek pracy. We Francyi na dwóch pracujących naprzykład jest jeden niepracujący, kiedy w Anglii na jednego pracującego wypada jeden niepracujący, co może najlepiej świadczyć o bogactwie Francyi, a ubóstwie Anglii. Po sporządzeniu spisu jednodniowego będziemy i my wiedzieli jaki procent przypada na Warszawę pracujących i niepracujących, jaki krajowców i przybyszów, cudzoziemców, którzy przychodzą jedynie na to, aby się tu bogacić i jak wody przypływowe na wiosnę spłókiwać najżyźniejsze cząstki; inaczej zupełnie zachowuje się miejscowy mieszkaniec, nie exploatuje on tyle sił, ale dba więcej o stopniowy i regularny rozwój swego miasta. Wogólności spis jednodniowy ma na celu wykazać wszelkie potrzeby, jakie tylko są, bądź to brak szpitali i szkółek, bądź to domów odpowiednich dla klas zamieszkujących pewne dzielnice, bądź wreszcie środków zaradczych śmiertelności i chorobom. Wreszcie ma wykazać stan ludności odnośnie co do wieku. Przeto p. Makowiecki zachęca wszystkich, a w szczególności panie, aby raczyli swój wiek szczerze i prawdziwie określać, zapewniając, że magistrat nie wyda szematów nikomu, a w ogłoszeniach, tylko ogólna liczba figurować będzie. Zdaje mi się, że to jest najsłabsza strona, która bez metryk w szematach najniepewniejsze otrzyma dane; mam nadzieję, że spis ten najwięcej młodych ośmnastoletnich panienek nam wykaże!... Cieszmy się zawczasu z tej liczby!

Wiktor Czajewski.

20 Grudnia.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Stycznia 1882 r.

Noworoczną korespondencyą naszą najwłaściwiej rozpocząć chcemy od strojów balowych. Otóż widzieliśmy właśnie w tych dniach modele, z cieniuchnej bibułki angielskiej, na śliczne balowe toalety. Modele te wykonane ze ścisłą dokładnością, pochodziły z wielkiego domu zajmującego się wyłącznie ich obmyślaniem. Dajemy tu ich opis.

Pierwsza suknia dla młodej mężatki, biała, z atłasu, gazy i błądyny. Spódnica atłasowa powłoczysta; przód do kolan zagarnirowany wolancikami z błądyny hiszpańskiej: nad każdym idzie rulon atłasowy, powyżej draperya z gazy, tworzy z przodu fartuszek, w tyle zaś fantastyczne upięcie, spadające nisko na powłokę. Stanik atłasowy, zachodzi na ramiona, z przodu i na plecach wycięty w ząb (*en coeur*). Na wykroju nagarnirowana błądyna, odwija się w kształcie chusteczki, z pod tego w górę wybiega wąziuchna riuszka z *crêpe lisse*, rękawki z atłasu, krótkie, dosyć bufiaste. Od wycięcia stanika przez lewy bok, aż do dołu spódnicy, przechodzi długa gałąź z liści jesiennych (*feuilles mortes*), przepinana pąsowemi makami w rozmaitych odcieniach. Także sama gałązka ma być wpięta pomiędzy włosy.

Druga suknia z atłasu i gazy niebieskiej w dosyć bladem odcieniu, spódnica u niej powłóczysta, nagarnirowana u dołu gazowemi falbankami. Z przodu spada czworograniasty fartuszek biały, błądynowy; powyżej zaś przerzucona bogata bajadera, w białe i srebrne pasy, pomieszane z niebieską sznelą, bajadera ta tworzy z przodu jakby drugi fartuszek, w tyle zaś ogromną kokardę.

Stanik do tego atłasowy, ma z przodu długie rozchodzące się poły, z tyłu zaś niewielką baskinę. Garnirunek z błądyny hiszpańskiej tworzy na połach jakby długie kieszenie, zakończone węzłami ze sznura srebrnego, takiż węzeł zdobi w tyle baskinę. Na wykroju stanika idzie błądyna, złączona z przodu wielkim bukietem błękitnych powoi, pomieszanych ze srebrem.

Trzecia suknia przeznaczona dla młodej panienki, z muszlinu indyjskiego i fularu białego *surrah*. Spódniczka fularowa do ziemi, ma u dołu jedną falbankę. Na to idą z przodu cztery draperye muszlinowe, każda zakończona lekką koronką w rodzaju *valencienne*; tylne bryty z muszlinu upięte w bogate festony. Stanik do gorsu, przemarszczony przez środek *à la Sevigné*, ma z przodu długi bawet, z tyłu wielką kokardę z białej materyi; sznuruje się na plecach.

Draperye z przodu spódniczki, podpięte czterema bukietami białych róż, z liśćmi w różnych odcieniach; w koło stanika na wykroju, ciągnie się wianek z takichże samych róż, — podobny wianek służyć ma do ubrania głowy.

Czwarta suknia także dla młodej panienki, blado różowa z gazy i atłasu. Na spódniczce atłasowej, cokolwiek powłoczystej, naszyte lekko buffy i bufeczki gazowe. Stanik wycięty czworograniasto, tak z przodu jak na plecach, ogarnirowany krepą plisowaną; rękawki bardzo krótkie, poniżej wykroju stanika wpięty wielki bukiet z pelargonii do cieniu, od blado różowego do ciemno karmazynowego, spódniczka podpięta z boku takimże bukietem.

Do tych balowych sukien dodajmy parę mniej strojnych, które zwróciły uwagę naszą w tutejszych magazynach. Jedna z nich przeznaczona na obiad proszony, z czarnego atłasu (*satin merveilleux*), ma spódniczkę do ziemi z plisowanym wolantem, szerokim na pół łokcia; wolant ten przechodzi tylko od boków przez tył spódniczki, przód zaś cały układany w plisy od góry aż do dołu. Nad wolantem naszyty szlak z liści aksamitnych czarnych, wycinanych w maszynie. Na to spada tunika atłasowa, otwarta z przodu, przybrana po bokach i u dołu takimże szlakiem z liści. Stanik długi, obcisły z baskiną. W tyle od baskiny, spada wielki pęk pukli ze wstążki atłasowej; podobne dwa pęki zdobią przód spódnicy, jeden przypięty poniżej stanu, drugi poniżej kolan.

Inna skromniejsza suknia, z gładkiej tkaniny wełnianej w kolorze ciemno śliwkowym, ma spódniczkę do ziemi, z wolantem marszczonym, szerokim przeszło na łokieć. Nad tem przechodzi do tyłu draperya, płaska po bokach, w tyle ułożona fantastycznie. Stanik długi, francuzki, otwarty z przodu, obłożony morą jedwabną w tymże samym kolorze; z pod spodu wychodzi kamizelka z wełnianej tkaniny, z długim bawetem, spięta na rzęd stalowych guzików, naszytych blizko siebie.

W kapeluszach pokazały się niejakie odmiany. Młode osoby noszą okrągłe kastorowe z długim włosem, zagięte nieco z boku; jedno pióro strusie naturalnej barwy otacza główkę, drugie wybiega z pod ronda i spada na tył głowy.

Starsze osoby do teatru i na wizyty, przyjęły kapelusze z czarnej błądyny hiszpańskiej, zwane *chapeaux mantilles*, ubrane aksamitem i dyademem z dżetów; długie końce błądynowe przerzucają się pod brodą lub wiążą na kokardę.

Na bardzo świetnym poranku muzycznym jedna z pierwszych elegantek paryzkich zwróciła powszechną uwagę kapeluszem nowego rodzaju; był to okrągły berecik, z główką zręcznie przyfałdowaną, ujęty nad czołem w pasek aksamitny szerokości dwóch calów. Pasek ten spięty był na klamrę brylantową, z po za której wybiegał w górę pęczek czarnych piór strusich. Wkoło szła jeszcze riusza z białej maliny rzęsisto nagarnirowana. Berecik związany był pod brodą na szarfy czarne aksamitne.

Inna szczególna moda pojawiła się na temże poranku: jedna z wytwornych pań miała suknię czarną aksamitną, z przodu spadał fartuszek ze szczególnej koronki czarnej, w rodzaju dawnych koronek weneckich. Przypatrzywszy się bliżej, można było dostrzedz, że to skórka kozłowa, wycinana w maszynie w rozmaite wzory. Ta skórka przytwierdzona szczelnie do aksamitu, bardzo ładnie i oryginalnie wyglądała. Stanik pokryty był ozdobami z takiejże skórki w deseń.

Ogromne kołnierze białe koronkowe, ciągle się utrzymują. Tworzą one okrągłą pelerynkę, ściętą po bokach, rozchodzącą się z przodu; u szyi wybiega w górę plisowana krepa, pęczek spadających pukielków, z wązkiej wstążki morowej w kolorze złotym, blado różowym lub błękitnym, łączy na piersiach dwie strony kołnierzyka. Niektóre kołnierze są całkowite, z jednej sztuki, inne znów małe, ogarnirowane płasko szeroką koronką, przymarszczoną tylko po rogach.

Mankiety do tego odpowiednie sięgają aż do łokcia. Zdobią je niekiedy pukielkami ze wstążki.

Stal, przyjęta już w roku przeszłym, nie wyszła jeszcze z mody. Widzieliśmy u czarnej jedwabnej sukni bardzo rzęsistą riuszę z gładkiego tiulu czarnego, zasianego w rzucik z paciореczek stalowych. Z przodu spadał udrapowany fartuszek tiulowy, cały naszyty stalą. Takie riusze zasiewają również dżetowemi paciorkami albo sieczką.

Krawaty, chusteczki i szaliki z pluszu powszechnie dzisiaj używane. Noszą je w różnych rozmiarach. Taka chusteczka sięgająca poniżej stanu, zaokrąglona w tyle, obszyta frendzlą szenelową, służy dla młodych osób do wejścia na bal lub do teatru.

NOWE WYDAWNICTWA.

Cerber, drobiazgi literacko artystyczne zebrał Alfabet. Jest to broszuka ilustrowana i ułożona na wzór pism humorystycznych w Warszawie wychodzących, a wydana w Wilnie drukiem I. Blumowicza. Mieści się też w niej i śmiechu trochę i szyderstwa, a poczciwa myśl z satyrą połączona, stanowi główną treść każdego choćby najdrobniejszego artykuliku.

Historya literatury powszechnej d-ra Jana Scherra, według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupeł-

niona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona, przez Bronisława Zawadzkiego, wyszła w trzecim zeszycie tomu trzeciego, nakładem Gebethnera i Wolffa. Całe dzieło ukończone zostanie w pierwszym kwartale roku 1882.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wyszedł już w całkowitych dwóch tomach. Każdy zeszyt, których dwanaście stanowi tom, kosztuje kop. 60 z przesyłką pocztową kop. 75. Prenumerujący składa opłatę za dwa poszyty a za wychodzące płaci oddzielnie.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt piąty tomu drugiego i zawiera następne artykuły: Broscius p. Dickstejna; Brudzewski, — Budynki szkolne p. Bo. Lutostańskiego; Burski p. Tytusa Świderskiego; Bursy p. H. Wernica; Bystrość p. I. K. P; Bystrzanowski p. P. Chmielowskiego. Encyklopedya ta wychodzi zeszytami pięcio-arkuszowemi, każdy zeszyt kosztuje kop. 40, z przesyłką kop. 50.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Na mocy upoważnienienia Jenerał Gubernatora, utworzył się komitet celem niesienia pomocy ofiarom ostatnich wypadków, pod przewodnictwem Prezydenta miasta. Członkowie komitetu wyznaczyli podkomitet dla natychmiastowego rozdawania wsparć z funduszu na miejscu zebranego. Dalej komitet odwołuje się do obywatelskich uczuć mieszkańców Warszawy i całego kraju z prośbą o pomoc. Składki na nieszczęśliwych pozbawionych mienia i sposobu zarobku, złożą z jednej strony świadectwo szlachetnych uczuć i świętej idei miłości bliźniego, z drugiej zaświadczą, że mieszkańcy tutejsi odwracają się ze wstrętem od bezprawia i prześladowania.

Składki mogą być nadsyłane do kasy bankiera Stanisława Lessera, ulica Miodowa, dom własny; oraz do Redakcyj wszystkich pism peryodycznych.

*** Ostatni Gwiazdkowy Nr. „Kłosów” odznacza się pięknemi rycinami i doborem artykułów. Nader zajmującą jest „Korespondencya J. I. Kraszewskiego” z której pozwalamy sobie przytoczyć parę wyjątków.

Zdając sprawę z ostatnich wydawnictw, z kolei przechodzi do kalendarzy, pomiędzy któremi pisze z wielkim uznaniem o kalendarzu wydanym w Krakowie przez Księgarnię katolicką d-ra Miłkowskiego, na rok 1882, dla tych krajów w których ziomkowie nasi nie mogliby może zdobyć się na własny, to jest: dla Szlązka, Prus Wschodnich i Ameryki. Jak' w r. z. tak i obecnie kalendarz jest z *opłatkiem*. Śliczna to i rzewna myśl to dodanie opłatka; — w roku przeszłym kalendarz ten zaniósł pod dachy 1500 rodzin ten chleb chrześciański Polski — da Bóg, że w obecnym rozejdzie się dwa razy tyle. Kalendarz jest bardzo dobry i zupełnie odpowiada celowi.

Dalej czcigodny jubilat pisze o małej książeczce wydanej w Krakowie p. n. „Przez sen i na jawie” a napisanej przez Adama hr. Łosia, w dwóch częściach. Tak tytuł jak powierzchowność nie dozwalają odgadnąć ani domyśleć się treści. Niewielka co do rozmiaru książeczka ta, bogata jest treścią, z której jednak trudno zdać sprawę, gdyż myśl autora przelata swobodnie z przedmiotu na przedmiot, porusza ważne zadania zapatrując się na nie z własnego sposobu widzenia. Do najcelniejszych rozdziałów należą: o polskiej idei—o edukacyi francuzkiej — krakowskie małżeństwa — o szkole polskiej w malarstwie. Ale z samych tytułów niepodobna utworzyć sobie trafnego pojęcia o treści, przedstawiającej poglądy całkiem nowe i oryginalne. Od patryotyzmu aż do skąpstwa — na wszystko autor zapatruje się ze swego odrębnego sposobu widzenia, wprowadza czytelnika na niezwykłe tory, a choć nie wyczerpuje zadań i nie rozwiązuje stanowczo, jednakowoż samem ich zestawieniem otwiera drogi do nowych zapatrywań i roztrzygnień. Ideały swe umie hr. Łoś malować tak sympatycznie i z takim ogniem, iż porywa czytelnika tak, że niepodobna prawie oprzeć się i nie przyznać słuszności jego dowodzeniom.

Dziwna rzecz, że książka ta tak nic niepodobna do innych powszednich rzeczy, tak wychodząca z oklepanej modły, tak żywo zajmującą samą nowością i oryginalnością poglądów i ze wszech miar zasługująca na wyszczególnienie, nie zwróciła dotąd uwagi sprawozdawców.

*** W końcu listopada r. z. zaczął wychodzić w Nowym-Yorku tygodnik „Zgoda” mający być polskim organem w Stanach-Zjednoczonych północnej Ameryki, pod redakcyą E. Odrowąża. Format wielki, druk i papier piękny. Artykuł wstępny, zgodnie z tytułem, zachęca wszystkich Polaków w Ameryce do zorganizowania się i połączenia w imię idei narodowej. Drugi artykuł p. t. „Co czeka Polaków w Ameryce”, podaje myśli uorganizowania istniejącej w Ameryce emigracy polskiej w ten sposób aby nie ginęła materyalnie a moralnie nie przepadała dla kraju. Dalej jest wiele ciekawych wiadomości o Polakach w Ameryce, a w odcinku powieść „Polak Samarytanin”. Część inseratowa nowego amerykańskiego polskiego pisma, przedstawia nader ciekawe dane o przemyśle i handlu polskim w miastach amerykańskich, dowodzące, że wielu z rodaków naszych dorobiło się znacznego mienia. „Zgoda” redagowana jest w duchu umiarkowanym, unika skrajnych teoryi, i jeźli dalsze numera dorównają pierwszym, stanie się nader pożytecznym organem zasługującym na poparcie i rozpowszechnienie.

*** Dnia 26 z. m. Towarzystwo filharmonijne urządziło w Paryżu w sali Hertz'a wieczór muzykalno-deklamacyjny, ze współudziałem p. Popławskiej, p. Pilińskiego (Armand Dutertre) i w. i. Było to pierwsze w Paryżu publiczne przedstawienie w języku polskim. P. Jezierski wypowiedział prolog, p. Popławska odegrała na fortepianie „Scherzo” i „Balladę” Chopin'a; chór pod dyrekcyą p. Pilińskiego, odśpiewał „U nas inaczej” Bohgana Zaleskiego. Pomiędzy utworami muzycznemi odegrano dwie jednoaktowe komedyjki: „Wieczorek w Paryżu” Wacława Gasztowta, i „Nikt mnie nie zna” Al. Fredry. Jedna tylko scena sztuki „Horace” odegrana została po francuzku. Przedstawienie zakończyła deklamacya „Gra Jankiela” z „Pana Tadeusza”. Wiersz wypowiedział p. Plucinski; muzykę wykonał na fortepianie p. Piliński. Poczem chór towarzystwa odśpiewał: „Hej Mazury! hejże ha!” a zakończył przedstawienie „Mazur” z opery „Halka” odtańczony przez cztery pary w ubiorach krakowskich.

*** Pomiędzy stowarzyszeniami opiekującemi się gorliwie podniesieniem oświaty w Czechach, zasługuje na uwagę tak zwana „Matica szkolna” stanowiąca główną przeciwwagę niemieckiego „Schulverein”. Zadaniem „Maticy” jest zakładanie szkół ludowych czeskich gdzie ich dotąd nie ma, i zaopatrywanie tychże szkół uboższych w książki i niezbędne przedmioty. Sprawozdanie za rok 1881 wykazuje, że zebrano 69,778 florenów z których wydano na szkoły około 10,000 flor. tak więc pozostało w kasie 59,797 flor. Zważywszy że stowarzyszenie to od niedawna istnieje, i że od 12 sierpnia r. z. zebrano drogą składek przeszło milion flor. na odbudowanie teatru, podziwiać i uwielbiać trzeba solidarność Czechów, objawiającą się w tak znacznych darach na cele narodowe. Prezesem tego stowarzyszenia jest znany dr. Rieger, dyrektorem p. Jan Czerny, redaktor *Pokroka* i poseł na Sejm krajowy.

Według statutów „Maticy” staje się członkiem:

1. Zakładającym, kto przez lat pięć składa do kasy po 100 flor. rocznie, lub 500 jednorazowo.
2. Rzeczywistym, kto przez lat pięć płaci rocznie po 10 flor. lub 100 flor. odrazu.
3. Popierającym, kto płaci rocznie po 10 flor.
4. Czynnym, kto opłaca rocznie pół florena.
5. Honorowym, kto położył wogóle zasługi dla stowarzyszenia lub szkolnictwa. Ofiary przyjmuje księgarz Styhle, kasyer stowarzyszenia.

„Matica szkolna” stara się przedewszystkiem o zakładanie szkół czeskich na Morawii i na Szlązku, jakoteż w miastach czeskich w których Niemcy mają przewagę w Radzie miejskiej, i nadużywają jej odmawiając dzieciom czeskim duchowego pokarmu narodowego. Tak więc zadanie stowarzyszenia jest nader ważne, wymagające wytrwałej długoletniej pracy, mającej w przyszłości bogate wydać plony.

*** Gazety zagraniczne donoszą, iż w Ameryce Północnej znajduje się *Ziemia obiecana* — dla panien chcących iść zamąż. Bliższe o niej szczegóły podał margrabia de Lorme, wielkorządzca Kanady, bawiący obecnie w Londynie. Margrabia przewodniczył w Exeter Hall na metingu stowarzyszenia dam, 'które zajmują się wysełaniem do kolonii angielskich kobiet zamężnych i wolnych. W mowie wypowiedzianej, margrabia zachęcał słuchaczki, aby starały się emigracyą niewiast zwracać wyłącznie do Kanady, która wogóle, a zwłaszcza jej część zachodnia, ma być prawdziwem Eldorado dla panien pragnących zawrzeć związki małżeńskie. Brak tam w ogóle służby żeńskiej, której bardzo poszukują, lecz z większym jeszcze zapałem uganiają się panowie za dozgonnemi towarzyszkami życia; tak więc każda panna, choćby zaledwie przystojna, może być pewną, że zaraz po przybyciu do Kanady z pewnością znajdzie męża. W odległych okolicach wschodnich, pretendenci do ożenienia literalnie wydzierają sobie młode dziewczęta. Gospodynie w Montréal, Kwebeku i Toronto uskarżają się iż dłużej nad dwa tygodnie nie mogą utrzymać żadnej choćby niezbyt ładnej służącej, gdyż zaraz zjawia się konkurent i pojmuje ją za żonę. Statystyczne wyrachowania wykazują, że w Anglii liczba kobiet o cały milion przewyższa ludność męzką — gdyby więc chciały emigrować do Kanady, przyczyniłyby się bardzo do rozwoju i pomyślności tej krainy, a pozostałe w Anglii, nie będąc już w większości, łatwo także znalazłyby mężów.

*** Bodajto być uczonym pisarzem i badaczem w Anglii! Słynny oryentalista i lingwista, Max Müller, z pochodzenia Niemiec, ale stale zamieszkały w Anglii i piszący po angielsku, wydał obecnie sanskrycki tekst „Rigwedy” z obszernemi własnemi komentarzami. Rząd angielski wydał tę pracę jego swoim kosztem, co kosztowało 3,779

funt. szter. a oprócz tego wypłacił Müllerowi jako honorarium za jego pracę 5,851 funt. szter., co według dzisiejszego kursu wyniesie około 40,000 rubli.

*** Straszna burza szalała niedawno w Chinach. W miastach Haifong i Tallee zerwał się złowrogi orkan, który stał się powodem okropnego spustoszenia i śmierci licznych ofiar. Orkan szalał z nieograniczoną siłą, morze wystąpiło z brzegów i zalało całą okolicę. O cztery mile od wybrzeży leży miasto Tallee,—wszystkie w nim domy stały w wodzie na wysokość 6 stóp; silny prąd zalał całe miasto, w skutku czego zatonęło przeszło 3,000 ludzi. Ogromne przestrzenie pól zasianych makiem, zupełnie zniszczone zostały; zatonęło także bardzo wiele statków płynących do Haifong z ładunkiem ryżu.

*** W tych dniach przybył do Europy pierwszy okręt pod flagą chińską. Jest to duży parowiec p. n. „Meifoo" płynący z Szangai ze znacznym ładunkiem herbaty; zawinął do portu londyńskiego. „Meifoo" ma odtąd kursować regularnie między Anglią a Państwem Niebieskiem. Obecnie przybyło na nim do Europy kilku zamożnych kupców z Szanghaju, z zamiarem założenia w Londynie chińskiej kompanii handlowej, dla pośredniczenia w przywozie swych towarów.

*** Według nowych badań doktora Gleya, praca umysłowa powiększa liczbę uderzeń serca o dwa lub trzy tętna na minutę, a powiększenie to ma zostawać w prostym kierunku do natężenia umysłu. Tak np. Gley przekonał się na samym sobie że serce biło mu prędzej, gdy się zajmował geometryą, gdyż przychodziło mu to z trudnością, a niżli gdy pracował nad filozofią, która to praca przychodzi mu łatwiej. Jednocześnie z przyspieszeniem szybkości ruchów serca, aorta rozszerza się, a tętno staje się zarazem szybszem i słabszem. Wskazuje to, że żywszy dopływ krwi do mózgu osłabia bieg jej po innych częściach ciała.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 22 Декабря 1881 г. **Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 1 r. 1881/2.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

Przez

HENRYKA CAUVAIN.

I.

— A teraz jeszcze, kochany Andrzeju, pokażę ci mój gabinet.

Armand d'Arçay wypowiedział te słowa z taką pewnością siebie, iż wywołał mimowolny uśmiech na usta Andrzeja Gérard, towarzysza jego lat młodocianych, którego od godziny już blizko oprowadzał po pięknym pałacyku który matka jego kazała wybudować w Rennes.

Ów gabinet był to wielki i wysoki pokój kwadratowy, oświetlony dużem szerokiem oknem, ozdobionem bogatemi firankami ze starych koronek.

Przyzwyczajony do nagich białych ścian swej skromnej pracowni, Andrzej Gérard przypatrywał się z zadziwieniem i niemal z uszanowaniem wykwintnemu i jak może być najdogodniejszemu pomieszkaniu przyjaciela. Po chwili jednak odzyskał zwykłą sobie swobodę i rzekł wesoło, żartobliwie:

— Doprawdy, mieszkasz jak minister!... Oto krzesło sieroty i fotel wdowy... a! widzę tam nawet kozetkę, w razie jeźli wdowa będzie młoda i ładna!...

I rozweselił swoim dobrym wesołym śmiechem może nieco za poważny apartament.

Zaczęła się długa pogadanka, — nie dziw, tak wiele mieli sobie do powiedzenia! Nie widzieli się blizko lat piętnaście, a gdy się rozstawali z sobą zaledwie przestali być dziećmi.

Pewnego dnia pani d'Arçay rzekła do syna, kładąc rękę na jego głowie:

— Czy wiesz, Armandzie, że kolega twój Gérard już odjechał?

Chłopczyna porzucił zabawki, serce ścisnęło mu się boleśnie, jego wielkie czarne oczy zalały się łzami.

— Nigdy nie zapomniałem o tobie, rzekł Armand ściskając dłoń przyjaciela, byłeś dla mnie zawsze najlepszym kolegą. Czy pamiętasz że zawsze rysowałeś dla mnie różne ucieszne figurki? W tem długiem rozłączeniu naszem jakże ja często myślałem o tobie!... Wiedziałem tylko że wysłano cię do zakładu naukowego nad granicą Francyi, gdzie wyznaczono ci stypendium jako sierocie po wojskowym, ale nie spodziewałem się już nawet że po tylu latach znów się w Rennes spotkamy.

— A! bądź pewny, mój drogi, że nie sprowadziła mnie tu tęschnota lub ukochanie miejsca w którem ujrzałem światło dzienne, bo z wyjątkiem miłych wspomnień jakie pozostawiły mi w pamięci chwile spędzane z tobą w parku twoich rodziców, dziecinne moje lata upływały tak ciężko i smutnie, iż same tylko przykre wrażenia pozostały mi po nich. Jak ci mówiłem, przyjechałem dla objęcia małego spadku po zmarłej ciotce mojej, i jak tylko dopełnię niezbędnych formalności, natychmiast wracam do Paryża, przekonany że i ty podążysz tam za mną, boć niepodobna abyś spędził życie w tej prowincyonalnej mieścinie. Tu możesz mieć tylko same nędzne lub niedorzeczne sprawy; tu wiódłbyś życie blade, bezbarwne, bez ideału, bez namiętności... słowem żyć życiem żyjątka!...

Armand uśmiechnął się nieznacznie.

— Jestem tu bardzo, bardzo szczęśliwy, rzekł po chwili, i ani myślę opuszczać Rennes.

Malarz spojrzał bystro w oczy przyjaciela, w których przebijała czysta jego i szczera dusza, dająca czytać w sobie jak w otwartej księdze.

— A!... jeźli tak, rzekł spokojnie, to rzecz inna; skoro jesteś zakochany, nie ma o czem mówić.

— Ależ ja tego nie powiedziałem!... zawołał Armand, a twarz jego mocnym pokryła się rumieńcem.

— Jeźli nie powiedziałeś przed chwilą, to mówisz teraz, odrzekł Gérard, wskazując z pewnym odcieniem złośliwości na poczerwieniałą twarz młodego adwokata.

— Nie chcę rozłączać się z matką, odrzekł Armand, a ona nie życzy sobie opuszczać Rennes Kazała wybudować ten pałacyk, więcej dla mnie niż dla siebie, gdyż znaczną część roku sam zajmować go będę. Wiesz jak ukochała naszą posiadłość du Mesnil; postanowiła spędzać w niej corocznie wiosnę i lato.... ciągną ją tam drogie wspomnienia...

Nastała chwila milczenia. Wypowiedziawszy ostatnie słowa, Armand westchnął ciężko i smutnie spuścił oczy. Andrzej patrzył na niego nie śmiejąc zadać pytania które gwałtem nasuwało mu się na usta. Po niejakiem wahaniu rzekł nareszcie:

— Nie pytałem się dotąd o ojca, nie chcąc bolesnych budzić wspomnień; wszak już nie żyje?

— Tak, kochany Andrzeju, biedny mój ojciec umarł przed trzema laty, po piętnastoletniem konaniu. Niestety! nigdy na chwilę nawet nie odzyskał rozumu, umarł nie poznając ani matki ani mnie...

— Doskonale przypominam sobie twego ojca. Wysoki, brunet, postawa poważna i surowa, a zimne spojrzenie przejmowało dreszczem. Nigdy nie zapomnę iż raz miałem w kieszeni kilka piłek, tak że się dobrze w niej pomieścić nie mogły. Zobaczywszy to, ojciec twój nagle przyciągnął mnie do siebie, postawił między swemi kolanami które ścisnęły mnie jak w kleszczach, i zaczął mnie badać tak gwałtownie i natarczywie, nalegać tak żywo, iż nareszcie przyznałem z płaczem że ukradłem te piłki—choć przysięgam ci że nie było to prawdą.

— A tak, odrzekł Armand ze smutnym uśmiechem, ojciec mój miał podobno być niezrównanym sędzią śledczym... i zabiła go właśnie ta zbytnia gorliwość i gorączkowa praca.

Głośny odgłos dzwonka przerwał rozmowę dwóch przyjaciół.

— Dzwonią na śniadanie! zawołał Armand. Chodź, Andrzeju, przedstawię cię matce mojej, będzie ci bardzo rada.

— A ja nadzwyczaj pragnę ją zobaczyć i przypomnieć się jej po tylu latach niewidzenia.

II.

Pani d'Arçay czekała ich na dole w wielkiej sali jadalnej. Nie była sama, tuż obok niej śliczna młoda dziewczyna układa kwiaty w piękny wazon. Gdy się drzwi otworzyły, odwróciła ku nim głowę i zarumieniła się mocno zobaczywszy Armanda.

— Do licha! pomyślał Andrzej Gérard, trzeba przyznać że przyjaciel mój ma dobry gust!

Jakoż rzeczywiście trudno wyobrazić sobie piękniejszej, powabniejszej dziewicy jak Małgorzata de Tremeillan, i słusznie Andrzej winszował w duszy Armandowi, że potrafił pozyskać jej serce.

Pobiegła naprzeciw Armanda, podając mu obie ręce, lecz zobaczywszy kogoś obcego, cofnęła się zapłoniona.

— Droga Małgorzato, rzekł Armand, przedstawiam ci jednego z najdawniejszych moich przyjaciół, towarzysza lat dziecinnych, pana Andrzeja Gérard, który przyrzekł kilka dni spędzić z nami.

A zwracając się do młodego malarza, dodał:

— Panna de Tremeillan, moja narzeczona.

Powiedział to głosem tak tkliwym i przejmującym, iż Gérard uczuł się żywo wzruszonym. Poczciwy chłopak należał do tej małej garstki ludzi, którzy gotowi paść na kolana przed prawdziwą miłością ilekroć ją napotkają—a łatwo było poznać że Armand i Małgorzata kochają się całem sercem.

— Muszę poskarżyć się przed panią na Armanda; rozmawiamy z sobą od dwóch godzin, a nie po-

wiedział mi nic o tem co go najwięcej obchodzić powinno.

— Jakto?... więc nic nie mówił o mnie? odrzekła, grożąc paluszkiem Armandowi?

— Chciałem zrobić mu miłą niespodziankę, ukochana moja, odpowiedział.

— Powiedz raczej że jesteś trochę nieśmiały...

— O! masz słuszność, nie śmiem uwierzyć memu szczęściu... nie śmiem wierzyć że chcesz zostać moją żoną... zdaje mi się że to tylko jakieś złote, niedoścignione marzenie! ...

Wypowiedział to z żywem wzruszeniem, spuszczając oczy jak dziecię i nie śmiejąc zbliżyć się do niej.

— Nie marzenie ale rzeczywistość, zawołała przybiegając do niego i kładąc mu rękę na ramieniu. — Kocham cię, Armandzie, i będę twoją, oświadczam to głośno. Jesteś zadowolniony? czy nareszcie zdobędziesz się na tę odwagę aby mówić o mnie z twymi przyjaciółmi?...

Za całą odpowiedź Armand ujął dłonie dziewczęcia, okrywając je gorącemi pocałunkami, a Andrzej mówił sobie po raz drugi, iż przyjaciel jego jest szczęśliwym wybrańcem losu, skoro pozyskał serce tej ślicznej, pełnej uroku dziewicy.

— No, no! moi zakochani, zstąpcie trochę na ziemię z wyżyn poezyi, i zajmijmy się prozą—śniadanie czeka na nas. Panie Andrzeju, prawie nie przywitałeś się ze mną, rzekła pani d'Arçay.

Andrzej tłomaczył się i przepraszał. Co prawda tak go zajęła piękność panny de Tremeillan, iż prawie zapomniał o pani d'Arçay, stojącej nieco na uboczu. Chcąc naprawić swą nieuwagę, prosił aby go uściskała jak dawniej gdy był małym Andrusiem, i jemu tak samo powitać się pozwoliła. Zgodziła się na to z uśmiechem, i zasiedli do śniadania które przeszło bardzo wesoło.

Zaraz po śniadaniu przyszedł ktoś z gości, i pani d'Arçay przeszła z Małgorzatą do salonu, a młodzi przyjaciele zapaliwszy cygara wyszli do ogrodu.

Zaledwie kilka chwil w nim się przechadzali, gdy zbliżył się do nich służący Armanda.

— Czego chcesz, Baptysto? zapytał tenże.

— Przyszedł ktoś i pragnie widzieć się z panem, rzekł stary sługa, wskazując na żelazną kratę odgradzającą dziedziniec pałacyku od ulicy, a po za którą można było dojrzeć jakąś czarną postać.

— A więc proś.

— Ale bo...

— Co takiego?

— Tak jakoś bardzo niedobrą ma minę.

— Czegoż chce ode mnie?

— Chce mówić z panem o jakiejś sprawie.

— Tak! zawołał Armand zwracając się do Andrzeja, który zatrzymał się o kilka kroków, i nie słyszał słów cicho wypowiedzianych przez służącego; słuchaj, przyjacielu, Baptysta zameldował mi pierwszego mego klienta.

— Doprawdy! odrzekł Gérard; ciekawość mnie bierze zobaczyć szczęśliwego śmiertelnika, który pierwszy zasiądzie w wspaniałym zielonym fotelu, pod troskliwą opieką Demostenesa... Czy przynajmniej wygląda na obiecującego klienta?

Stary Baptysta skrzywił się znacząco.

— Nie?... to źle... ale z resztą adwokat d'Arçay może bronić spraw nie oglądając się na honorarium.

Widać długie czekanie zniecierpliwiło klienta, bo otworzył drzwi, kraty i przestąpił próg.

— Hm! zawołał Gérard rzuciwszy na niego okiem,—dobrze iż to dzień i że nie jesteśmy w lesie, bo cóż to za odrażająca fizyognomia!... To chyba sprawa kryminalna, dodał, wpatrując się w przychodnia. Ale winszuję ci, Armandzie, zawsze to lepiej niż jakaś sprawa cywilna, na której śpią wszyscy, sędziowie, adwokaci publiczność... Sąd kryminalny...! świetna obrona naszpikowana wielkiemi frazesami i uczuciami... tego ci właśnie trzeba... Tego jabym pragnął gdybym był został adwokatem, dodał śmiejąc się i szeroko machnąwszy rękami.

— Rozmówię się z tym człowiekiem, wprowadź go, Baptysto, ale bocznemi schodami aby go panie nie widziały, bo doprawdy mogłyby się przestraszyć.

Baptysta odszedł i powróciwszy do nieznajomego, poprowadził go ku małym drzwiczkom, wiodącym ku tylnym schodom.

— Zatrzymaj się chwilkę, Andrzeju, rzekł Armand i przebiegłszy prędko schody prowadzące na peron, wszedł do swego gabinetu oczekując nieznajomego.

III.

Zaledwie usiadł przed biórkiem, drzwi się otworzyły i przybyły wszedł po gabinetu.

Baptysta wprowadziwszy go, odszedł.

Nieznajomy zatrzymał się chwilę na progu, i nieco błędnem wzrokiem powiódł do koła. Zdawało się że potrzebuje przyjść do siebie; kurz pokrywający całe jego odzienie, wskazywał iż przychodził z daleka, a widoczne znużenie że szedł długo i prędko.

Armand wskazał mu krzesło; zdawał się nie widzieć tego.

— Siadaj, przyjacielu, rzekł młody adwokat, zadziwiony tem dziwnem jego zachowaniem się.

Przybyły zdjął powoli z głowy pomięty kapelusz, otarł potem oblane czoło, postawił kij w rogu pokoju i usiadł przy biurku Armanda. Chciał przemówić, ale słowa uwięzły mu w gardle; drżącą ręką rozwiązał zdartą szmatę służącą mu za krawat, i zrobił ręką znak mający oznaczać: pić!

Gdyby podobny klient pojawił się u któregoś innego adwokata, kazanoby go prawdopodobnie wyprowadzić,—ale Armand był młody, miał dobre serce, był to pierwszy jego klient, a nadto w tym nieznajomym było coś dziwnego i tajemniczego, co podniecało jego ciekawość.

Wstał, podszedł do stolika na którym stała butelka wina, woda i szklanki, i nalawszy w szklankę trochę wody, dopełnił ją winem i podał nieznajomemu. Ten wychylił ją duszkiem, poczem wyszeptał słabym głosem: dziękuję!

— A teraz, przyjacielu, proszę powiedz po co przyszedłeś do mnie?

Zaczął mówić z widocznem wysileniem, ale tak cicho i tak osłabionym głosem, iż Armand musiał się pochylić ku niemu, aby dosłyszeć co mówi.

— Panie, rzekł, przychodzę prosić abyś mi dopomógł uzyskać sprawiedliwość. Nie chodzi tu o jakąś zwykłą sprawę; nie jestem wieśniakiem procesującym się z sąsiadem... a tem mniej, jakbyś pan mógł wnosić z odzienia, żebrakiem mającym jakieś zajście z żandarmami lub policyą... Jestem uczciwym człowiekiem który dwadzieścia lat przebył na galerach i pragnie zadośćuczynienia za krzywdę wyrządzoną jego dobrej sławie... Jestem niewinnym i pragnę rehabilitacyi.

Głos nieznajomego stał się teraz wyraźniejszym, a ostatnie słowa wypowiedział głośno, prostując się i silnie uderzając pięścią w biórko.

Początek ten sprawił pewne wrażenie na Armandzie; był zaintrygowany i zaciekawiony kto to być może i jaką mu też opowie historyę. Pomimo młodości i niedoświadczenia, wiedział że wszyscy zbrodniarze jedną zawsze śpiewają piosnkę, mianowicie że są niewinni i tylko niesprawiedliwość sędziów stała się przyczyną ich nieszczęścia. Ale to oznajmienie nieznajomego tchnęło jakąś powagą, domagającą się uwierzenia jego słowom.

Zresztą, zdawał się on przewidywać podejrzenie Armanda, gdyż rzekł po chwili:

— Chciałbym abyś się pan zainteresował moją sprawą, błagam cię więc, chciej wierzyć w prawdę słów moich... Jeżli pan nie zechcesz mnie słuchać, każ mi odejść, a pójdę szukać innego adwokata, gdyż bądź co bądź będę się domagać i muszą wymierzyć mi sprawiedliwość. Jak tylko przybyłem do tego miasta, bez chwili wytchnienia,—choć przeszedłem dziesięć mil podczas tak skwarnego gorąca nic w ustach nie mając, — nie zapytawszy nawet co się stało z małą córeczką, którą zostawiłem w kolebce gdy mnie skazano na galéry—prosiłem aby mi wskazano mieszkanie jakiego adwokata. Pokazano mi ten dom, pobiegłem tu nie zapytawszy nawet o nazwisko pana... Nadszedł więc nareszcie dzień na który czekałem lat dwadzieścia,—czy słyszy pan, lat dwadzieścia i to na galerach... Zdaje mi się że teraz będę mógł dowieść mej niewinności... że odzyskam honor... że zdołam zapomnieć przebytych cierpień... Tak, pan wszystkiego tego dokazać dla mnie możesz—możesz wrócić mi więcej jak życie. Chciej mnie wysłuchać, błagam i miej litość nademną! Nie uważaj mnie za nędznego włóczęgę, bo przysięgam że pod tem poszarpanem odzieniem, pod straszną i odrażającą powierzchownością, kryje się uczciwy człowiek, który błaga cię na kolanach...

Nieznajomy przy tych ostatnich słowach złożył ręce i wyciągnął je błagalnie do Armanda, który przyglądał mu się uważnie.

Armand był wzruszony tem co słyszał, nie chciał jednak dozwolić aby serce jego zapanowało nad rozwagą, i starał się przybrać postawę obojętną w obec tej boleści, która mogła być tylko dobrze odegraną komedyą. Wpajano w niego od dziecinnych lat takie poszanowanie dla władzy sądowej, ojciec przedstawiał mu się zawsze w pamięci jako tak wierny obraz niezłomnej sprawiedliwości, że nie mógł nawet przypuścić aby sąd mógł się tak dalece pomylić.

Nieznajomy wpatrywał się bystro w twarz młodego adwokata, a wyczytawszy w jego oczach podejrzliwość, a co najmniej powątpiewanie, westchnął i rzekł wstrząsając głową z wyrazem głębokiego zniechęcenia.

— Ah! jakże trudno nieszczęśliwemu wzbudzić zaufanie!... Ale nie łudziłem się nigdy, wiedziałem że będę musiał przełamywać największe trudności... Wiem że wszyscy zbrodniarze chcą uchodzić za niewinnych. Towarzysze moi na galerach przysięgali że sędziowie pomylili się wydając na nich potępiający wyrok.

— Wiem o tem, odpowiedział Armand, tonem zapowiadającym że nie jest tak łatwowiernym aby mógł uwierzyć w podobne zapewnienia.

— Ale ja mogę przysiądz że co do mnie pomylili się rzeczywiście! zawołał nieznajomy. Przysięgam panu, że jestem niewinnym i że mam prawo do twej litości.

— A więc powiedz mi, za jaką zbrodnię zostałeś skazanym na galery, rzekł Armand opierając się o poduszki swego fotela.

IV.

— Rodzice moi byli zacnymi ludźmi i mieszkali w tych stronach, rzekł nieznajomy po chwili milczenia; mój ojciec nazywał się Piotr Torquenié.

— Jesteś więc Jan Torquenié! zawołał Armand.

— Tak, odpowiedział nieznajomy z wyrazem zadziwienia... pan mnie zna?

— Słyszałem wiele o tobie, gdyż sprawa twoja była niegdyś głośną, rzekł z żywością młody adwokat. Zamordowałeś wice-hrabiego de Mortrée, i otrułeś swą żonę...

— Tak, za to zostałem skazany na galery, odpowiedział z goryczą Torquenié, ale jeżeli pan zna tę nieszczęsną sprawę, to nie potrzebuję trudzić pana opowiadaniem jej przebiegu.

— Znam rzeczywiście wszystkie jej szczegóły, odpowiedział Armand; a po chwili milczenia dodał: Uprzedzam cię nawet że bardzo trudno byłoby ci przekonać mnie o twej niewinności, ponieważ wiem z pewnością że śledztwo w tej sprawie zostało przeprowadzone starannie i sumiennie, że sędzia śledczy spełnił swój obowiązek, zbrodniarz przyznał się do popełnionej zbrodni.

— Sędzia!.. zawołał Torquenié poruszając się z żywością. Sędzia!... A! panie, gdybyś wiedział jaki to był człowiek i w jaki sposób mnie badał!... Gdybyś mógł wiedzieć jak dręczył mnie strasznie, bez miłosierdzia.. A jednak broniłem się, opierałem, walczyłem... Ale niech pan sam powie co może uczynić nieszczęśliwy, trzymany przez sześć miesięcy w ciężkiem więzieniu, który od nikogo nie usłyszy dobrego słowa, którego codzień powołują do badania i podchwytują każde jego słowo, każde spojrzenie, popóki nie straci zupełnie przytomności umysłu... Ah! gdyby mury więzienia były mogły przemówić! Gdyby przysięgli byli obecni w tym ciemnym gabinecie który dziś jeszcze widzę, który przez te nieszczęsne dwadzieścia lat mego życia stał mi ciągle przed oczyma, gdyby, mówię, przysięgli byli obecni przy tem co się działo między mną a badającym mnie katem, zrozumieliby jakim to sposobem, zrozpaczony, bezsilny, przyznałam się do winy będąc niewinnym, zmyśliłem zbrodnię której nie popełniłem nigdy, oszalały z boleści, prawie bezprzytomny, pozbawiłem się wszelkiej nadziei ratunku, i...

— Dość tego! zawołał Armand z oburzeniem. Nie pozwolę na to abyś w obec mnie znieważał człowieka tak zacnego!

— A! jesteś pan nielitościwym, zawołał Jan Torquenié załamując ręce, wypędzasz mnie, nie chcesz wysłuchać... Niech i tak będzie, dodał powstając, poszukam innego prawnika... Mówiono mi zawsze że adwokaci mają serca szlachetne; że gdy do którego z nich przyjdzie człowiek nieszczęśliwy, wykaże mu swą niewinność i błaga aby stanął w jego obronie, nie odmówi mu swej pomocy. Kiedy wypuszczony z więzienia, śpieszyłem żądać sprawiedliwości od ludzi którzy potępili mnie niesłusznie, nie domyślałem się że pierwszą przeszkodę na mej drodze postawi ten któremu powołanie jego nakazuje bronić nieszczęśliwych.

Jan Torquenié powiedział to z wzruszającym wyrazem cierpienia i godności, ale Armand zdawał się nieczułym jak głaz. Ten człowiek tak młody, pełen zapału, posiadający serce tak szlachetne, zdolne do największych poświęceń, który dla tego tylko został adwokatem aby życie jego mogło być użytecznem dla innych, stoi teraz zimny jak posąg w obec tego biedaka błagającego jego pomocy. Musi więc być silnie przekonanym że ten człowiek kłamie, skoro może być tak nieczułym na jego prośby.

— Żegnam pana, rzekł Torquenié z wyrazem niewysłowionej boleści.

Armand odwrócił się od niego ze wstrętem.

Torquenié zbliżający się już do drzwi, krzyknął, zatrzymał się nagle, i z nadzwyczaj silnem wzruszeniem wyciągnął rękę do portretu wiszącego na ścianie.

— A! otóż on, on! zawołał, ten nędznik który mnie tak dręczył, który mnie zniesławił, złamał moje życie, a może zabił moje dziecię! A! kat! kat prawdziwy! O! jeźli dotąd żyje!...

Wymówił te słowa rzucając na portret pełne groźby i nienawiści spojrzenie.

— Milcz, nędzniku! zawołał Armand blady z gniewu i oburzenia, chwytając go silnie za rękę.

Następnie położył rękę na ramieniu Jana Torquenié, tak gwałtownie jakby chciał go zmusić aby pochylił głowę przed tym którego znieważył, i dodał:

— Ten zacny, szlachetny człowiek, był moim ojcem!

Były galernik odsunął się z żywością i patrząc na Armanda prawie błędnym wzrokiem, zawołał:

— Był pana ojcem!... A więc już nie żyje?... Tem lepiej... Rozumiem teraz dla czego mnie odpychasz, dla czego byłeś dla nnie tak nielitościwym... Jesteś równie okrutnym jak twój ojciec... Bądź przeklętym razem z nim!

Wyciągnął raz jeszcze pięść do portretu i wybiegł jak szalony.

V.

Całe to zdarzenie sprawiło przykre bardzo wrażenie na umyśle Armanda d'Arçay i zbudziło w jego umyśle niepokój, z którego nie mógł się otrząsnąć przez cały dzień.

Małgorzata spostrzegła zaraz że coś niepokoiło narzeczonego, ale pomimo pełnego czułości nalegania, nie mogła dowiedzieć się powodu tej zmiany w jego usposobieniu. Armand przysiągł jej że nie był nigdy szczęśliwszym jak obecnie, i wymawiając się silnym bólem głowy, odszedł wcześniej do swego pokoju.

Andrzej Gérard zadziwił się także i zaniepokoił widząc że przyjaciel jego wpada tak często w zamyślenie, pośpieszył też wkrótce za nim, i rzekł kładąc rękę na jego ramieniu:

— Musiała cię spotkać jakaś przykrość, Armandzie... nie uszło to uwagi panny de Trémeillan, która prosiła mnie przed chwilą abym się starał dowiedzieć co cię zasmuciło.. Cóż jej mam powiedzieć?

— Moja droga Małgorzata zatrwożyła się o mnie bez żadnego powodu... Jakąż zmianę mogła dostrzedz dziś we mnie?

— Napróżno wmawiałbyś we mnie, Armandzie, że nie doznałeś jakiejś przykrości; panna de Trémeillan może nie domyślać się powodu twej niespokojności, ale ja go przeczuwam. Dopiero od chwili jak ten człowiek wyszedł od ciebie, jesteś tak zamyślonym, milczącym... Doprawdy, mój biedny przyjacielu, jeżeli zechcesz tak brać do serca wszystkie opowiadania twych klientów, staniesz się najnieszczęśliwszym z ludzi i najpłaczliwszym z adwokatów.

— Proszę cię, Andrzeju, nie żartuj, rzekł Armand.

Postąpił parę kroków jakby chciał się oddalić, potem zatrzymł się i dodał po chwili namysłu, podając rękę Andrzejowi:

— Słuchaj, powiem ci co sprawiło na mnie tak przykre wrażenie... Pragnę zasięgnąć twej rady, usłyszeć twoje zdanie.

Udali się do gabinetu młodego adwokata, i jak tylko zamknęli drzwi za sobą, Armand opowiedział prędko przyjacielowi wszystko co mówił Jan Torquenié, a skończywszy opowiadanie, zwrócił oczy na młodego malarza, jakby chciał dowiedzieć się co o tem myśli.

Andrzej Gérard słuchał uważnie, potem chodził kilka minut po pokoju, a następnie rzekł, zatrzymując się przed Armandem:

— Jest to rzeczywiście dziwne i niemiłe zdarzenie, i pojmuję że musiało ci sprawić wielką przykrość, lecz co do mnie, chcąc wyrobić sobie jakieś o tem zdanie, potrzebowałbym poznać przeszłość tego człowieka, okoliczności towarzyszące jego zbrodni, szczegóły procesu...

— Była to sprawa głośna w swoim czasie, i „Gazeta Sądowa" zamieściła w swych szpaltach wszelkie dotyczące jej szczegóły. Każę zanieść do twego pokoju numera zawierające sprawozdanie z całego przebiegu sprawy; przeczytaj uważnie, a przekonasz się że tu wszelkie powątpiewanie jest niemożliwem. Ten człowiek sam przyznał się do zbrodni, i został słusznie ukaranym.

— A jednak, rzekł Andrzej ściskając rękę Armanda, a jednak, mój biedny przyjacielu, ciebie samego dręczy straszna niepewność, i nie możesz się otrząsnąć z gnębiącego cię niepokoju.

— Nie! nie! zawołał Armand z żywością, zaręczam ci że dla mnie wszelka wątpliwość jest tu niemożliwą. Mój ojciec był zaliczany powszechnie do najznakomitszych członków sądownictwa, a jako sędzia kryminalny pozyskał sobie opinię człowieka zdolnego i sprawiedliwego. — Zresztą ten człowiek wyznał sam swą zbrodnię!

Armand powtarzał to ciągle jakby potrzebował dowieść samemu sobie że tu nie mogła zajść pomyłka, i że zajlżejsza skaza nie ciężyła na pamięci ojca, którego tak kochał i szanował.

— Proszę cię, Andrzeju, wróć teraz do salonu, odezwał się po chwili Armand d'Arçay; nie chcę aby wiedziano że ten człowiek był u mnie. Powiedz że jestem trochę cierpiący... powiedz zresztą co chcesz; ale liczę na twoją przyjaźń że nie powiesz ani Małgorzacie ani mojej matce, jaka mnie dziś spotkała przykrość.

Andrzej Gérard zastosował się do życzenia przyjaciela. Starał się przekonać Małgorzatę że Armand nie doznał żadnej choćby najlżejszej przykrości, że jutro odzyska z pewnością zwykłe swe usposobienie, a obecnie ubolewa tylko nad tem że jego posępny humor zatrwożył ją niepotrzebnie, ponieważ jedynym tego powodem jest tylko silny ból głowy, dokuczający mu już od kilku godzin.

Pani d'Arçay uwierzyła mu od razu, ale Małgorzata odpowiedziała ze smutnym uśmiechem:

Jestem zmuszona wierzyć tak panu jak Armandowi, gdyż sądzę że gdyby spotkało go rzeczywiście jakieś zmartwienie, nie ukrywałby tego przedemną. Wszakże teraz wszystko powinno być nam wspólne.

Wkrótce potem matka Armanda odprowadziła jego narzeczoną do przeznaczonego dla niej pokoju. Hrabia de Trémeillan przysłał Małgorzatę do pani d'Arçay, gdyż nie chcąc pozostawić jej samej w domu, gdyż był zmuszony wyjechać do odległej fermy. Miał nazajutrz wstąpić po nią.

VI.

Andrzej Gérard, który w Paryżu wracał bardzo późno do domu, nie miał ochoty udać się na spo-

czynek o tak wczesnej porze. Księżyc świecił jasno, wieczór był pogodny i cichy, wziął więc od Baptysty klucz od drzwi wchodowych i wyszedł na przechadzkę.

Pałac d'Arçay leży w części miasta przytykającej do rzeki Ille, która w tem miejscu załamuje się nagle, ujmując w swe srebrzyste ramiona małą wysepkę zacienioną topolami i wierzbami.

Na lewo młyn rozsiadł się na rzece. Stare domostwa z dachami powykrzywianemi na bakier, jak czapka na głowie pijaka, usadowiły się tuż nad wodą. W oknach wielu z tych domków widać światło przez większą część nocy, i słychać w nich głośne rozmowy i śpiewy. Są to szynki nie cieszące się zbyt dobrą opinią, do których uczęszczają głównie robotnicy z wielkiej fabryki sukna Breton i S-ka, której obszerne budynki wznoszą się na prawo.

Od rzeki ciągnie się aleja wysadzona rozłożystemi lipami, z malowniczym widokiem na zieloną wysepkę, młyn i stare domki. Wszystko to, zwłaszcza przy blasku księżyca, tworzyło jakiś uroczy sielski krajobraz.

Andrzej usiadł na ławie w alei lipowej i przyglądał się długo tej części miasta posiadającej tak odrębną powierzchowność, ale hałas dochodzący z szynków przerywał jego marzenia; był to właśnie dzień w którym wypłacono robotnikom należne im zarobne, chcieli więc wesoło przepędzić wieczór.

Andrzej wstał, przeszedł około młyna na drugą stronę rzeki i wszedł na wysepkę. Tam położył się na bujnej i gęstej trawie, patrząc na listki topoli drżące nad jego głową i połyskujące jak stalowe blaszki. Wciągał w siebie z rozkoszą powietrze nasycone zapachem wonnych ziół, i wkrótce ogarnęło go jakieś przyjemne rozmarzenie, z którego wyrwał go nagle odgłos szybkich i ciężkich kroków na mostku prowadzącym z młyna na wysepkę.

Spostrzegł z zadziwieniem jakąś wysoką postać zbliżającą się śpiesznie do łączki na której leżał, i zatrzymującą się przy niej na chwilę.

Andrzej zobaczył wtenczas przy blasku księżyca mężczyznę wysokiego wzrostu, ale już trochę pochylonego. Głowa jego była odkryta, a włosy zupełnie siwe.

Niósł na ręku kobietę prawdopodobnie zemdloną, bo zaledwie wszedł na łączkę, położył ją na trawie, ukląkł przy niej i starał się ocucić.

Andrzej nie mógł pozostać obojętnym świadkiem tak niespodziewanej sceny; wstał i zbliżył się do nieznajomego, który podniósł się szybko usłyszawszy za sobą jakieś kroki, i wyciągnął już ręce jakby chciał podnieść zemdloną i uciekać z nią dalej.

Gérard uspokoił go i ofiarował mu swą pomoc, którą nieznajomy przyjął chętnie. Wtenczas Andrzej pobiegł do rzeki i umoczył w niej chustkę; gdy obmywał krew płynącą z czoła zemdlonej, nieznajomy opowiedział mu jakim sposobem spotkał tę biedaczkę.

Przechodził właśnie przez ulicę, gdy usłyszał nagle krzyki i spostrzegł tę nieszczęśliwą dziewczynę uciekającą przed gromadą goniących ją kobiet i dzieci. Zaczął biedz za nią chcąc stanąć w jej obronie, ale w tej chwili właśnie kamień rzucony przez którąś ze ścigających, ugodził w głowę biedną dziewczynę, która upadła zemdlona. Gromada goniąca ją, zatrzymała się zobaczywszy swą ofiarę leżącą nieruchomo na ziemi, on zaś pochwycił ją śpiesznie na ręce i uniósł w ciemną uliczkę, przy końcu której spostrzegł mostek prowadzący na drugą stronę rzeki. Korzystając z tego, przeniósł nieszczęśliwe dziewczę na wysepkę, aby ją uchronić od okrucieństwa jej prześladowców.

— Wszakże nieszczęśliwi powinni dopomagać sobie wzajemnie, rzekł wstrząsając smutnie głową.

Zdaje mi się że zaczyna odzyskiwać przytomność, odezwał się Gérard, czując że ręka dziewczęcia zadrżała lekko w jego dłoni. Nie może tu pozostać dłużej. Sądzę że najlepiej będzie abyś jej dał schronienie u siebie.

— U mnie! odezwał się nieznajomy z wyrazem gorzkiego smutku!...

Milczał przez chwilę, a potem dodał:

— Ja sam nie mam schronienia, a jutro muszę opuścić to miasto jeszcze przed wschodem słońca.

W tej chwili zemdlona odetchnęła silniej i otworzyła oczy. Andrzej uniósł ostrożnie jej głowę. Przyłożyła rękę do czoła i cofnęła ją natychmiast z jękiem boleści. Rana jej była dość głęboka i bolesna.

Andrzej umoczył powtórnie chusteczkę i przyłożył jej do czoła, z którego krew sączyła się ciągle.

W kilka minut później odzyskała o tyle przytomność i siły że mogła mówić, a widząc przy sobie dwóch nieznajomych, powiedziała im że prawie od lat dziecinnych pracuje w fabryce Breton'a, że zawsze towarzysze i towarzyszki pracy dokuczali jej na każdym kroku, a nadzorcy obchodzili się z nią źle i niesprawiedliwie. Opisała im wszystko co przecierpiała w fabryce, a w miarę jak mówiła głos jej stawał się co raz ostrzejszym, prawie dzikim, znać było że to młode serce już przesiąkło żółcią.

— A czy wiecie, panowie, czemu tak mną poniewierają, czemu mną tak pogardzają, czemu mnie biją? Oto dla tego że jestem córką galernika! Czyż to moja wina że ojciec mój był mordercą? O! czemuż nie jestem mężczyzną!

Usiadła i wyciągnęła zaciśniętą pięść ku tej części miasta, której niezgaszone jeszcze światła odbijały się w rzece.

Jan Torquenié uchwycił namiętnie tę rękę i przechylił nagle głowę nieznajomej, tak aby światło księżyca, przedzierające się przez gałęzie, twarz jej oświeciło. Potem przytulił ją do serca z przytłumionym krzykiem, i przycisnął usta do jej zakrwawionego czoła.

Dziewczyna wyrwała się z rąk jego, i chwilę patrzyła na niego błędnym wzrokiem.

— O! jakże podobna do niej!... szepnął starzec, to ona!... ona! Moja Joanna! wykrzyknął, usiłując znów przyciągnąć ją do siebie.

Zerwała się i odskoczyła z wyrazem przestrachu i wstrętu.

— Ah! zawołała odtrącając od siebie nieszczęśliwego, który raz jeszcze wyciągnął do niej ręce, nie zbliżaj się, nie zbliżaj się do mnie!...

— Joanno! moja Joanno! jestem twoim ojcem, zawołał były galernik rozdzierającym głosem.

— Moim ojcem! krzyknęła cofając się z widocznem przerażeniem.

— Tak, tak, twoim ojcem, odpowiedział Jan Torquenié drżącym głosem. Jestem twoim ojcem, nieszczęśliwym ale niewinnym, czy słyszysz? niewinnym. Nie uciekaj ode mnie... Chodź, chodź, córka moja, chodź w moje objęcia! Biedne moje dziecię! Dręczono cię z mego powodu... Jakież to straszne życie!... Ale wszystko się teraz zmieni... Przekonają się że jestem niewinnym... Nie będą mogli pogardzać nami... Będą zmuszeni cię szanować... O! jakże jesteś piękną, moja Joanno, jakże cię będę kochać, biedne moje dziecię!...

Przysunął się do niej, i pierwszy od dwudziestu lat uśmiech rozjaśnił twarz jego pooraną zmarszczkami.

Joanna jednak odepchnęła go znowu wołając:

— Nie zbliżaj się! nie zbliżaj do mnie.

Oczy jej zabłyszczały dzikim ogniem, i dodała ponurym głosem:

— Nienawidzę cię! idź precz ode mnie!...

Powiedziawszy te słowa uciekła, przebiegła przez mostek i znikła między domami.

Jan Torquenié upadł na ziemię i ukrył twarz w dłoniach, rozpaczliwe łkania wstrząsały całem jego ciałem.

Cała ta scena sprawiła głębokie wrażenie na Andrzeju. Nie miał jak Armand, powodów zmuszających go do uzbrojenia się w obojętność, i zdjęty współczuciem dla nieszczęśliwego, bez namysłu wyciągnął do niego rękę.

— Ah! panie, zawołał nieszczęśliwy starzec, ściskając z uniesieniem tę dłoń szlachetną, pierwszy to raz od dwudziestu lat podano mi rękę. Jesteś dobrym i zlitowałeś się nade mną. Czy to nie straszna rzec znosić takie katusze będąc niewinnym? Spędzić dwadzieścia lat w więzieniu za zbrodnię której nie popełniłem!... Przybiegam tu, żądam sprawiedliwości, słudzy jej wypędzają mnie od siebie... Znajduję córkę, przeklina mnie i ucieka... Biedne dziecko, przebaczam jej, dodał z wyrazem najtkliwszego politowania; przez tyle lat wpajano w nią nienawiść do mnie, i wszystkie swe cierpienia mnie przypisywać musi... Mój Boże! mnie, który ją tak kocham! i który, gdy mi ją niebo zesłało, marzyłem tylko o tem aby jej zapewnić szczęście!...

Andrzej słuchał go z wzrastającem wzruszeniem i zadziwiało go to że twarz tego człowieka, pomimo że przebyte cierpienia pozostawiły na niej głębokie ślady, stawała się szlachetnie piękną gdy ją ożywiało jakieś silniejsze uczucie. Zwróciło także jego uwagę wysłowienie tego biedaka, tak poprawne, że trudno było uwierzyć aby mogło wychodzić z ust człowieka który połowę życia spędził na galerach.

— Tak więc, odezwał się znów Jan Torquenié, jestem sam jeden na świecie, opuszczony od wszystkich... A jednak muszę uzyskać sprawiedliwość! zawołał z mocą. Tak, teraz więcej jeszcze niż kiedykolwiek pragnę odzyskać dobre imię, i odzyskać je muszę!

Mówiąc te słowa, zwrócił zamglone łzami oczy w tę stronę w której Joanna znikła.

— Muszę już ruszyć w drogę, dodał podnosząc swój kij z ziemi; wyszedłem już z więzienia, a jednak nie jestem i nie będę wolnym aż do dnia w którym sądy uznają swą pomyłkę. Do tego czasu muszę czuć ciągle rękę policyi ciążącą na mem ramieniu... Straszne życie!...

— Więc nie możesz tu zostać? zapytał Gérard.

— Nie, przeznaczono mi Evreux na miejsce zamieszkania, muszę więc tam wrócić. Przybyłem tu jedynie aby powierzyć moją sprawę jakiemuś adwokatowi, gdyż pragnę aby pomyłka została uznaną i sprostowaną tam gdzie ją popełniono. Lecz doznałem strasznego zawodu... byłem dziś u dwóch prawników i obydwaj wygnali mnie od siebie. Jeden mi nie wierzył, drugi uznał że jestem zbyt ubogim...

(D. c. n.)

Opis do N-ru 1.

N. 1. Suknia balowa ze stanikiem bawetowym.

Niebieski atlasowy stanik z długim bawetem z przodu i z tyłu, ogarnirowany jest u dołu marszczoną falbanką z nagłówkiem. Na podwleczeniu z niebieskiego atłasu albo białego lekkiego materyału, zwierzchnią spódnicę tiulową od dołu aż do draperyi, układa się w bufki podłużne przemarszczane. Draperya górna z przodu, szarfowe upięcie z tyłu i krótkie bufowane rękawki są także z tiulu. Girlandy i bukieciki z róż różnokolorowych służą do przystrojenia sukni i głowy.

N 2. Suknia strojna à panier.

Kaszmir albo crêpe de Chine koloru ivoire, także atłas i koronki służą do odrobienia ubrania odznaczającego się zarówno prostotą jak i wykwintnym gustem. Spódnicę krótką lub z trenem garniruje się z przodu i z boków siedmiu 5 cent. szerokiemi wolantami, oszytemi równie szeroką koronką. Tylny bryt z małym trenem ogarnirowany wolantem 15 cent. szerokim, pokrytym koronką, w górze zakończony bufą z nagłówkiem z koronki, jest raz tylko w górze lekko podpięty. Draperya à panier jest w prostym górnym brzegu kilka razy przemarszczona, u dołu oszyta koronką 10 cent. szeroką, z tylnego brzegu sfałdowana i spięta z wierzchu na brycie tylnym kokardą ze wstążki atłasowej. Stanik bawetowy z przodu kwadratowo wycięty, jest w ten sposób podcięty na biodrach, żeby nie zasłaniał przemarszczania panier. Przód stanika zdobi plastron atłasowy pokryty gazą przemarszczaną, z brzegów oszyty wąską pliską atłasową, pokrywającą boczne zapięcie stanika. Rękawy do łokcia dochodzące, w górze w bufkę ułożone, niżej są zszyte w podłużne fałdki, przylegające do ręki; kołnierz koronkowy Medicis podszyty atłasem. Na ramionach kokardy z wązkiej atłasowej wstążki.

N. 4—6. Stoliczek z klapami ozdobiony haftem.

Blat i nogi stoliczka 72 c. wysokiego pokryte są pluszem, takiego jak inne meble koloru, przybitym małemi złoconemi rozetkowemi goździczkami na wązkiej wełnianej bórcie, do której u dołu dodana jest frendzla 4 cent. szeroka. Blat można powiększyć w sposób na ryc. 5 wskazany, podniosłszy klapy spuszczone na ryc. 4, która przedstawia stoliczek bogato ozdobiony haftem robionym w maszynie, sposobem wskazanym na ryc. 6; kontury odznacza się złotem a środek zapełnia jedwabiem. Chcąc podobny haft odrobić w ręku, trzeba środek zapełnić ściśle jeden przy drugim naszytemi sznureczkami robionemi szydełkiem ściegiem łańcuszkowym, włóczką crewel i jedwabiem, które przyszywa się lewą stroną do wierzchu.

N. 7—8. Koszyczek na postumencie ozdobiony haftem i torsadą z kulkami. Deseń na arkuszu z krojami N. III.

Dno koszyczka wyłożone jest haftem ze sznureczków szydełkowych, robionych włóczką crewel i jedwabiem w czterech cieniach oliwkowych i blado-ponsowych, na pluszu oliwkowym. N. III na arkuszu z krojami przedstawia większą połowę deseniu, w którym środki zapełnione są sznureczkami szydełkowemi na lewą stronę obróconemi, robionemi z włóczki oliwkowej w czterech cieniach. Muszki i długie ściegi na wierzchu wyszyć filozelą ponsową. W dolnym płaskim koszyczku haft pokrywający dno przymocowany jest z brzegu sznurem szenelowym a boki pozostają ażurowe, w górnym atłas plisowany zdobiący wewnątrz boki, przykrywa zarazem brzeg haftu. Torsada oliwkowa robiona z włóczki ciemno-oliwkowej na widełkach i kulki strzyżone z włóczki ponsowej do cieniu, dopełniają zwierzchnie przyozdobienie. Ryc. 7 przedstawia próbkę torsady i kulek w połowie naturalnej wielkości.

N. 9. Pelerynka przemarszczana.

Pelerynka atłasem podszyta, w górze kilka razy przemarszczona, służyć może do negliżowego ubrania albo do ubrania domowego dla dam niemłodych.

N. 10 Pelerynka koronkowa.

Na czarnym plisowanym tiulu dopasowanym podług formy, mającym 13 cent. długości, 44 górnego a 95 dolnego obwodu, naszywa się dwa razy 10 cent. szeroką fałdowaną koronkę, trzeci rząd przyszywa się u dołu. Wykrój szyi wszyty w pasek tiulowy, do którego przyszyta i wywinięta koronka 5 cent. szeroka, pod którą podkłada się 125 długą a 3 cent. szeroką wstążkę kolorową związaną z przodu na kokardę. Taka pelerynka może być także odrobiona z białego tiulu i koronki.

N. 12. Majtki zapinane. Krój N. V, fig. 17—18.

Majtki wszędzie zapięte bardzo dogodne w zimę i do szlichtady na łyżwach bardzo mało w kroju różnią się od zwykłej formy, to też podajemy mały model całych majtek na fig. 17, a tylko na fig. 18 klin w naturalnej wielkości, któren od gwiazdki do dwukropka wszywa się z tyłu do majtek, a z przodu zapina się na guziki. Przednie części majtek wszywają się w podwójny dodany do nich pasek; części tylne podszywa się listewką, w którą nawłóczy się tasiemkę do przyciągania. Nogawice oszyte u dołu koronką, obciska wstążka w atłasie, przewleczona przez patki w odstępach przyszyte. Model majtek odrobiony był z flanelki bronzowej.

N. 13. Majtki wraz z kaftanikiem zrobione z materyału trykotowego. Krój N. IV, fig. 15—16.

Cienki i miękki wełniany lub bawełniany materyał trykotowy, łatwo ustępujący i rozciągający się, łatwo bez zmiany kroju nadaje się do każdej figury. Dla braku miejsca musimy formę przodów i pleców dać przeciętą w dwóch częściach na fig. 15A i 15B, które trzeba zestawić razem podług dwukropków i gwiazdek. Do obudwóch części przodów dodane są przy krajaniu wyłogi, które następnie jeden na drugi zachodzą dla większego ciepła. Pod zwierzchnią prawą stronę przodu, z brzegu i w miejscu oznaczonem linijką na fig. 15A i 15B, podszywa się listewki z perkalu i obrabia dziurki, a do lewej połowy przodu przyszywa się w tych samych miejscach guziki. Do rękawów i nogawic dodaje się 16 cent. szerokie oszycie z kurczącego się trykotu w paski.

N. 14 i ryc. 8 w N-rze 2. Suknia ubrana koronką.

Suknia z kosztownej czarnej materyi w morowaną szachownicę, ubrana aksamitem i koronką, dla panien właściwsza będzie bez trenu, jak na ryc. 8, a dla mężatek do salonowego lub wieczornego ubrania z trenem wskazanym na ryc. 14. W pierwszym razie garnirunek daje się w koło, w drugim tylko z przodu, a tren pozostaje gładki. Z pod falban 32 cent. szerokich z koronki chantilly, wyglądają wązkie mało naddane falbanki aksamitne. Draperyę szalową układa się z bryta 96 cent. szerokiego, na draperyę zachodzi rodzaj panier ułożony w dwie bufy przedzielone i u dołu oszyte koronką 12 c. szeroką. Do stanika bawetowego dodany plastron aksamitny i chusteczka upięta z szerokiej koronki. Przy rękawach mankiety aksamitne; kokardy z materyi.

N. 15 i ryc. 40 w N-rze 2. Szlafroczek z bufowanemi rękawami. Krój N. II, fig. 7—12a.

Strojny szlafrok z przodu i z tyłu przemarszczany i w karczek wszyty, odrobić można z fularu lub każdego miękkiego materyału na atłasowej podszewce. Biała i żółtawa hiszpańska koronka nadaje się zarówno do kaszmiru jak i do aksamitu. Do skromniejszych szlafroczków można koronkę zastąpić wywodzeniem na tiulu, a podszewkę dać z satynki, cienkiej flanelki lub musseline de laine. U dołu poprzedza koronkę drobne plisowanie z tego co szlafrok materyału lub z atłasu albo z surah. Podług fig. 7, 8 i 11, przykrawa się zarówno wierzch i podszewkę, a podług fig. 9, 10 i 12 tylko gładką podszewkę, a do wierzchu dodać oznaczoną cienkiemi linijkami ilość materyału. Sposób przymarszczania wskazany jest na r. 15 i 40. Przy środkowej i bocznej części pleców, razem krajane bryty spódnicy są proste, a szerokość oznaczamy na zmniejszonym modelu fig. 7a—12a. Rękawy bufowane układa się na gładkiej podszewce, a bufki przedzielają paski pokryte koronką.

N. 16—52. Szafa, bielizna i ubrania dla lalek.

Formy bielizny, sukien i kapeluszy dajemy na arkuszu z krojami, a szycie i wykończenie jest takie jak dla osób dorosłych.



N. 1. Suknia balowa ze stanikiem bawetowym. N. 2. Suknia strojna à panier.

N. 56—57. Czepeczek do teatru ozdobiony haftem maurytańskim i chusteczka z surah. Forma i deseń na arkuszu z krojami N. IX, fig. 41—42.

Piękny haft maurytański robiony kolorowemi pelami do cieniu i nitką złotą na cienkiem niewarowem płótnie, a następnie podłożony czarnym aksamitem, bardzo pięknie wydaje się, szczególnie przy jasnem wieczornem oświetleniu. Na fig. 41 dajemy formę czepeczka, pod którem daje się fasonik ze sztywnego tiulu, oszyty drucikiem i wstążeczką, a na ryc. 25 w N. 2 część deseniu w naturalnej wielkości, ze wskazaniem sposobu roboty i rodzajów ściegów. Deseń rysuje się na płótnie, konturу odznacza dwoma złotemi nitkami, rzadko przydzierganemi cienkim jedwabiem, z brzeżnej nitki złotej robi się zarazem pentelki łączące figury i pikoty z brzegu. Odzierganie jest zawsze takiego koloru jaki służy do zapełnienia środka figury; do haftu używa się peli do cieniu. Model robiony był kolorem niebieskim, różowym, oliwkowym i żółtym do cieniu; gdzieniegdzie naszyte były małe blaszki złote. Po skończeniu roboty wycina się z pod tła płótno i podkłada aksamit czarny, nakoniec czepeczek oszywa się w koło 7 c. szeroką koronką, robioną z nici złotych, srebrnych i stalowych i 6 cent. szeroką koronką białą jedwabną. Takież same koronki służą do oszycia krawatki. Z tyłu czepeczek ozdobiony kwiatami różowej akacyi. Chusteczka ułożona była ze skośnego kawałka blado-żółtej surah, mającego 32 cent. szerokości a 50 długości, którego brzeg dolny i jeden z bocznych brzegów oszywa się dwa razy koronką marszczoną 6—7 c. szeroką. Drugi brzeg poprzeczny trzeba ściśle sfałdować i przyszyć do paska muślinu 2 cent. szerokiego, do którego przyczepia się także zręcznie ułożony górny brzeg skosu. Zapięcie chusteczki z tyłu przykrywa koniec skosu koronką oszyty, sfałdowany i kokardą ze wstążki przypięty. Z jednego boku chusteczka przepięta jest bukiecikiem, z drugiego zręcznie ułożona sposobem wskazanym na ryc. 56.

N. 58. Haft na poręcz do sofy. Deseń na arkuszu z krojami N. II.

Meteryał: Atlas żółtawy na tło pod haft, atłas łososiowego koloru, habrowy, bordo i zielony na aplikacyą, gruby kordonek i jedwab w takich samych kolorach, sznureczek złoty gładki i okręcany, jedwab złotego koloru, białe płótno na podłożenie pod atłas do haftu w krośnach. Własny dobry gust wskaże jak układać i dobierać stosownie jedne przy drugich kolory przeznaczone na aplikacyą. Każdą figurę aplikacyi przymocować najpierw grubym kordonkiem takiego samego koloru, przyszywanym cienkim jedwabiem, za którym naszyć następnie sznurek złoty. Długie zewnętrzne ściegi i supełki na aplikacyi robić grubym kordonkiem odmiennego koloru. Wąsy i centki na tle naszywać sznureczkami złotemi, których rodzaj i grubość widoczna na deseniu. Szlak na poręcz do sofy przyszyty był w górze do paska pluszu, a u dołu oszyty piękną frendzlą z kwastami.

N. 59–60. Torebka na nocną bieliznę.

Torebka z satynki bronzowej podszytej szyrtyngiem, na zwierzchniej stronie ozdobiona z brzegów poprzecznych frendzlą macramé, naszytą w ten sposób że tylko kwasty za brzegi wystawały. Nad torsadą szlaczek 2 cent. szeroki, wyszyty na grubem żółtawem płótnie, ściegiem smyrneńskim jedwabiem bronzowym. Dalej dwa szlaczki wyszyte grubym kordonkiem koloru vieil-or, ściegiem kordonkowym; deseń jednej figury w naturalnej wielkości na ryc. 60.

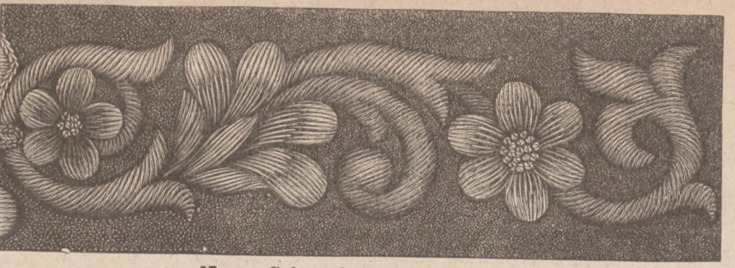
N. 61. „Sortie de bal“ formą szalową, mające 50 c. szerokości a 180 długości, zrobione było z białej sznelowej tkaniny i oszyte 22 c. szeroką frendzlą sznelową.

N. 62. Okrycie balowe z rękawami pokryte koronką. Plecy na arkuszu z krojami fig. 48.

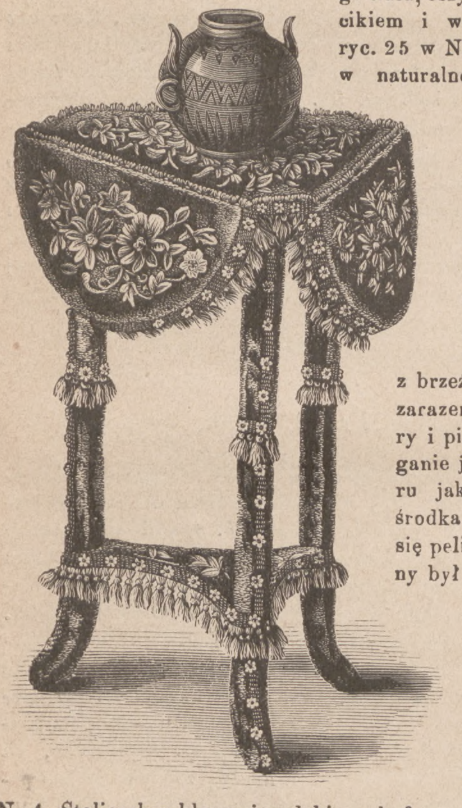
Model odrobiony z atłasu niebieskiego z podszewką pluszową, pokryty był i garnirowany czarną hiszpańską koronką. Pod falbany koronkowe dane plisowanie z atłasu.

N. 63 i 64. „Sortie de bal“ z przemarszczanemi rękawami. Krój N. III, fig. 13—14a.

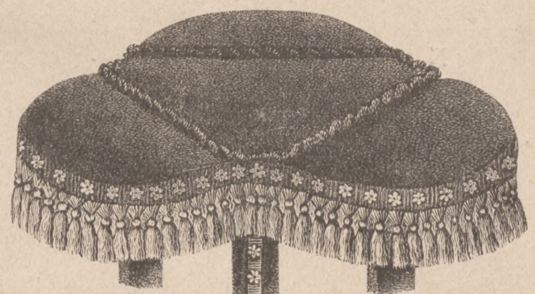
Okrycie balowe odrobione było z białego adamaszku, na lekko podwatowanej jedwabnej podszewce i oszyte 9 c. szeroko białem futrem albo piórami. Kokardy ze wstążki w atłasie 8 c. szerokiej.



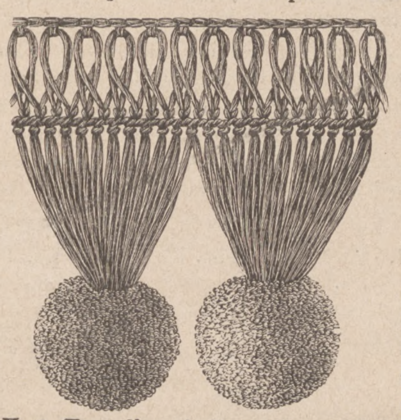
N. 3. Szlaczek haftem płaskim.



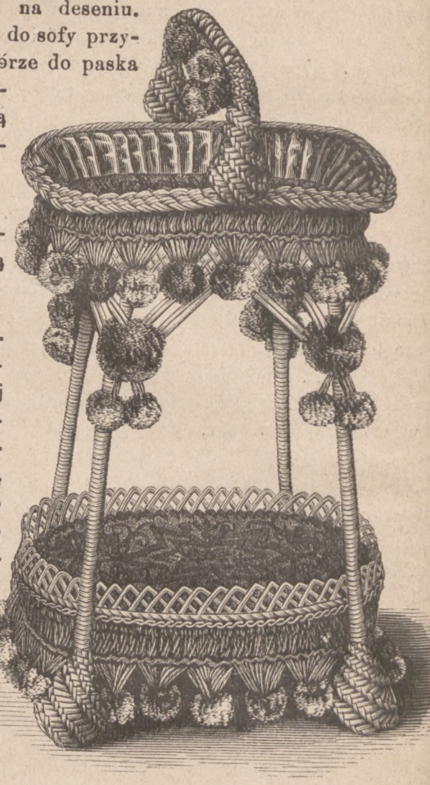
N. 4. Stoliczek z klapami ozdobiony haftem. Patrz ryc. 5—6.



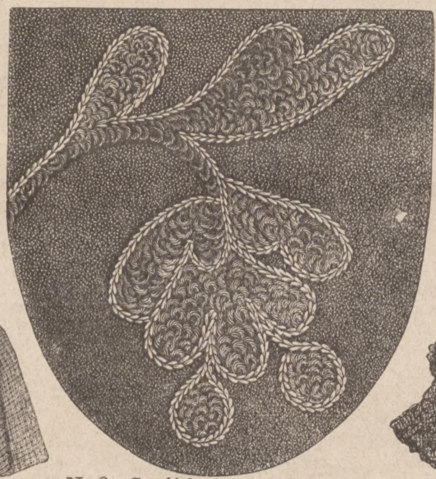
N. 5. Stoliczek z podniesionemi klapami. Patrz r. 4.



N. 7. Torsadka z kulkami do ryc. 8.



N. 8. Koszyczek z postumentem. Patrz ryc. 7.



N. 6. Część haftu maszynowego do ryc. 4.



N. 9. Pelerynka przemarszczana.



N. 10. Pelerynka z koronki.



N. 11. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 12. Majtki zapinane. Krój na arkuszu N. V, fig. 17—18.



N. 13. Majtki z kaftanikiem z materyału trykotowego. Krój na arkuszu N. IV, fig. 15—16.



N. 14. Suknia ubrana koronką.



N. 15. Szlafroczek z przemarszczeniem i bufowanemi rękawami. Patrz ryc. 40 w N-rze 2. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—12a.

Opis do N-ru 2.



N. 16 Ząbki do bielizny dla lalek.



N. 18. Szlaczek do bielizny dla lalki.

N. 1—2. Sukieneczki dla dzieci.

N. 1. Sukienka bluzkowa. Potrzeba najpierw dopasować lekko wcinaną podszewkę, zapinaną niewidocznie z przodu, poczem zwierzchni materyał przemarszcza się na wzór ryc. 1, zostawiając od góry gładki karczek a u dołu fałdowaną falbanę, 15 cent. szeroką. Model był odrobiony z kaszmiru ciemno-ponsowego z dodaniem aksamitnej falbany, szarfy, rękawków i karczka.



N. 21. Napiersnik dla lalki.



N. 41. Kapotka dla lalki. Patrz ryc. 40.

N. 2. Sukieneczka wycięta formą princesse.

Ma krótkie rękawki, kwadratowy wykrój szyi, przody z odcinaną kamizelką a plecy założone w głęboką kontrafałdę; u dołu dodana falbana 14 c. szeroka, złożona w kontrafałdy, stanowiąca spódniczkę. Kieszonki po 12 c. szerokie, 8 długie. Przybranie stanowi wypustka z kolorowego atłasu; przody na kamizelce związane są kokardami z wstążki; guziczki okrągłe złote.



N. 22. Lalka w sukience wyciętej. Patrz ryc. 23.

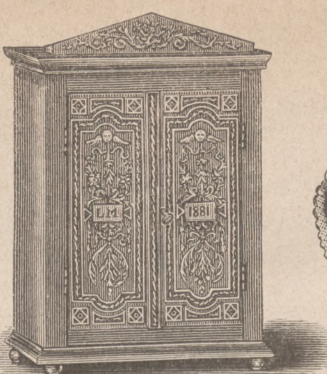
N. 3—4. Ubrania na lekcye tańca.

N. 3. Suknia z tuniką i bluzką.

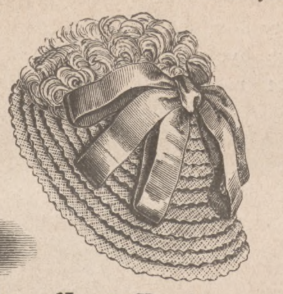
Może być odrobiona z lekkiego materyału jak kolorowy batyst, grenadyna zdobna koronką i haftami, lub z wełnianego jak kaszmir, toile Virginie, voile réligieux i t. p. Ryc. 3 przedstawia sukieneczkę z blado-niebieskiego kaszmiru, zdobną haftami maszynowemi w kolorze niebieskim. Krótką spódniczkę zdobi plisowanie 15 cent. szerokie, a nad niem płaska bufa przemarszczana u dołu w nagłówek. Tunika marszczona z przodu, z tyłu ma upięty bryt prosty. Bluzka zapięta z przodu na guziki, w pasie przyciśnięta wstążką związaną w kokardę. Kreza i mankiety haftowane.

N. 4. Sukienka princesse z szalową raperyą.

Pod całą sukienkę trzeba dać podszewkę gładko dopasowaną do figury, przemarszczenie w materyale zwierzchnim odznacza karczek w około wyroju szyi, a na wcięciu stanu w przodach i plecach tworzy jakby pasek. Na sukience zakończonej szerokiem i wązkiem plisowaniem, przerzucona szalowa draperya, związana z tyłu na kształt szarfy.



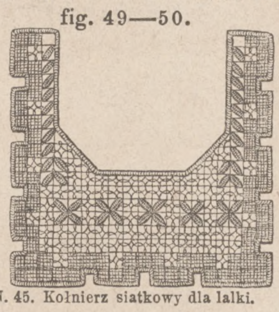
N. 20. Szafa na garderobę lalki. Deseń malowania na arkuszu fig. 49—50.



N. 42. Kapelusz dla lalki.



N. 43. Koszulka dla lalki. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 28—29.



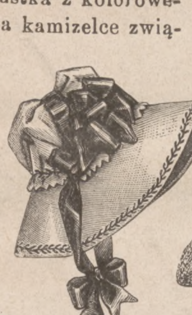
N. 45. Kołnierz siatkowy dla lalki.



N. 44. Majtki dla lalki. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 30.



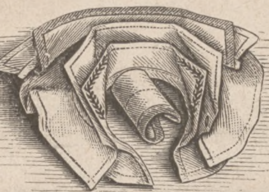
N. 46—48. Chusteczki dla lalki.



N. 25. Kapelusz dla lalki. Krój na arkuszu N. VIII fig. 39—40.



N. 26. Pończochy dla lalki.



N. 27—29. Kołnierzyki dla lalki.



N. 30. Kamasz dla lalki.



N. 31-32. Czepki nocne dla lalki. Krój na arkuszu N. VIII, f. 37-38.



N. 39. Wielka lalka w ubraniu dziewczynki. Patrz ryc. 38.

N. 40. Lalka ruchoma w sukience pod szyję. Krój na arkuszu N. VIII fig 24—27.



N. 51. Woreczek na bieliznę dla lalki.



N. 49. Kołnierz marynarski dla lalki.



N. 52. Fartuszek bluzkowy dla lalki.



N. 38. Sukienka wycięta dla lalki. Przód patrz r. 39.



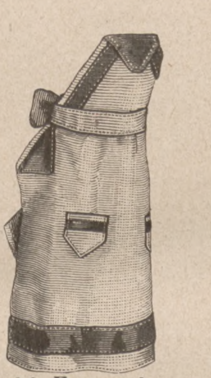
N. 33—34. Spódniczki dla lalki.



N. 50. Poduszeczka do igieł dla lalki.



N. 35. Fartuszek dla lalki. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 31—32.



N. 36. Fartuszek z napierśnikiem dla lalki. Krój na ark. N. VIII, fig. 33—34.



N. 17. Ząbki do bielizny dla lalki



N. 19. Szlaczek do bielizny dla lalki.

N. 5. Przykrycie na gzyms od kominka. Deseń po drugiej stronie arkusza z krojami.

Zrobione jest z pluszu odpowiedniego do umeblowania koloru, oszyte u dołu frendzlą i ozdobione 15 cent. szeroką koronką, tworzącą z boków lambrekinę. Deseń koronki znajdą czytelniczki na arkuszu z krojami do N. 1 i 2 Tygodnika Mód.



N. 24. Kaftanik nocny dla lalki. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 35—36.

N. 6—7. Kaftaniczek dla dziecka. Krój na arkuszu N. XII, fig. 47.

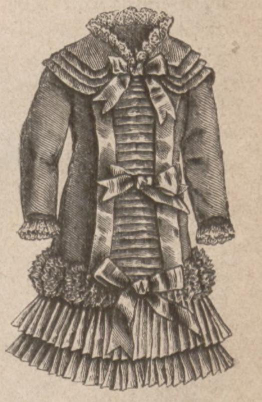
Kaftaniczek ten naśladujący wyroby gipiurowe, składa się z kwadracików szydełkowych, ozdobionych wyszyciem krzyżykowem, spajanych pajączkami koronkowemi; r. 7 podaje część roboty w naturalnej wielkości. Kwadracik każdy z cienkich białych nici szpulkowych, zaczyna się na 15 oczek i robi ściegiem tenutańskim 14 rzędów; rzucik wyszyty bawełną szafirową i ponsową. Przygotowawszy sobie pewną liczbę kwadracików, trzeba je spajać podług formy kaftanika, którą podaje fig. 47; zapięcie dane środkiem pleców. Podług miar wskazanych na fig. 47, trzeba przygotować formę w naturalnej wielkości; plecy, przody, ramiona i rękawki robią się w jednym ciągu, a następnie składają odpowiednio. Wykrój szyi, rękawki i brzegi kaftanika obrabiają się koroneczką szydełkową; pod skończony kaftaniczek daje się podszewkę z materyi lub satynki.



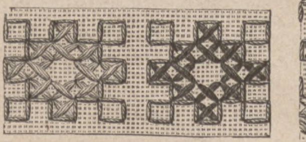
N. 23. Lalka w sukience wyciętej. Patrz ryc. 22.

N. 9 i 39. Suknia ze stanikiem z fałdami. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—6.

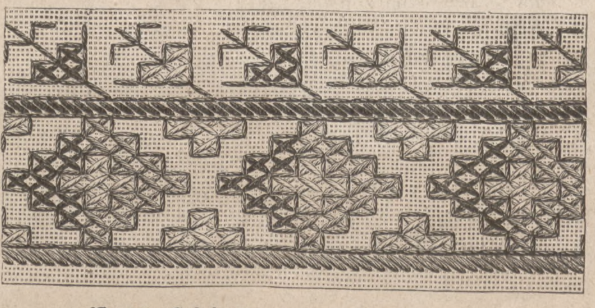
Ryc. 9 i 39 przedstawiają przód i plecy stanika z dwojakiego materyału, przykrojonego podług fig. 1—5, wołnego do spódnicy naszytej plisowanemi falbanami jak na ryc. 39 lub do zręcznej tuniki upiętej podług r. 9. Podszewkę gładką kraje się podług fig. 1—4, a materyał zwierzchni naddaje się podług linii kropkowanej na fig. 1a—4a i następnie zakłada w pięć fałd podług r. 39, ściśnionych na wcięciu stanu, a rozszerzonych do dołu i ku ramionom. Dolny brzeg stanika zdobi rodzaj ranwersów z odmiennego materyału, formą wskazaną na ryc. 39, które z przodu ścięte są bawetowo, a z tyłu przy pleckach zebrane w fałdy,



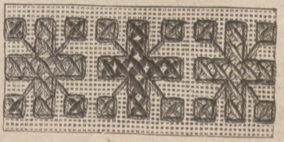
N. 37. Sukienka z plastronem dla lalki.



N. 53. Szlaczek do r. 20 w N-rze 2.



N. 55. Szlak do serwet lub t. p.



N. 54. Szlaczek do r. 20 w N-rze 2.

wpuszczone w szew od E—F, tworzą rodzaj panier. Pod szyją dany kołnierz związany wstążką; wzdłuż przodów przy zapięciu stanik objęty jest materyą użytą na przybranie. Rękawy mogą być gładkie lub lekko bufowane jak na ryc. 39; krój podaje fig. 5; górny brzeg rękawa od gwiazdki do dwukropka, a dolny od krzyżyka do krzyżyka założony jest w trzy kontrafałdy po 2½ c. szerokie przeszyte w odstępie 10 cent. od góry. U dołu przy ręce dany rodzaj mankieta z plis, 5 cent. szerokiego, związanego kokardą. Tunikę jaką przedstawiliśmy na ryc. 9, upina się z brytów oznaczonych na fig. 6: na każdą połowę tuniki potrzeba bryta w całej szerokości materyału 200 cent. długiego, i drugiego przez połowę szerokości 166 cent. długiego, złączonych szwem przy brzegu przednim na 130 cent. długości. Przedni brzeg zebrany jest w ścisłe fałdy do 10 cent. i przyczepiony na środku przedniego bryta sukni o 20 c. poniżej paską; boki tuniki sfałdowane są wysoko, a tylne upięcie wskazuje r. 9. Składa się ono z pukli spadających poniżej baskiny stanika i utworzonych przez złożenie brytów dwukropkiem do dwukropka, krzyżykiem do krzyżyka i gwiazdką do gwiazdki i zszytych. Drugi brzeg naprzeciw pukli składa się w kilka fałdek oznaczonych krzyżykami i kropkami na fig. 6. Wolno spadające końce półbrytów tworzą dolne zakończenie upięcia, przypiętego z wierzchu długą kokardą z wstążki.



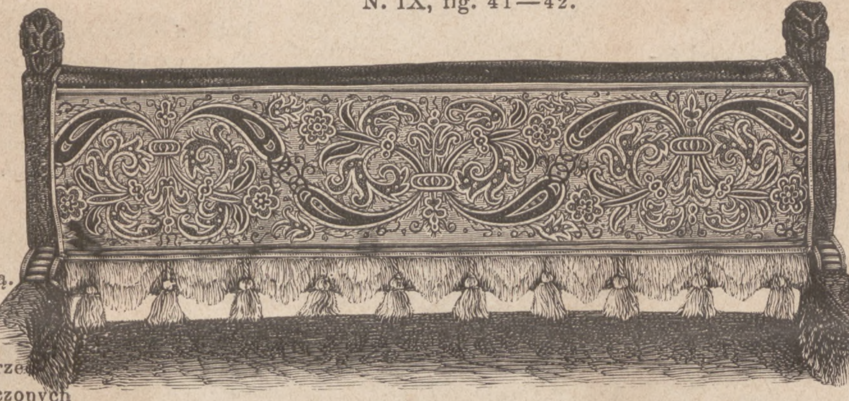
N. 56—57. Strojny czepeczek z haftem maurytańskim i chusteczka z materyi surah. Patrz część haftu na ryc. 25 w N-rze 2. Deseń na arkuszu N. IX, fig. 41—42.



N. 62. Okrycie balowe pokryte koronką. Patrz fig. 28 na arkuszu.



N. 63. Okrycie balowe z przemarszczanemi rękawami. Patrz ryc. 64.



N. 58. Przykrycie haftowane na poręcz do sofy.



N. 59. Torebka na nową bieliznę. Patrz ryc. 60.



N. 60. Wyszycie ściegiem sznureczkowym, do ryc. 59.



N. 61. Okrycie balowe formą szala.



N. 64. Okrycie balowe z przemarszczanemi rękawami. Patrz ryc. 63. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—14a.

N. 15. Dywanik z wyszyciem krzyżykowem.

Liczy wraz z frendzlą 130 cent. długości a 83 szerokości i jest odrobiony na materyale konopnym, podobnym do kanwy Aïda. Brzegi boczne dodane są z pluszu na 18 cent. szerokości, wyciętego u góry w zęby po 12 cent. szerokie, po 6 głębokie. Frendzla z brzegów poprzecznych 12 cent. długa, wysiepana jest z materyału i wiązana włóczką koloru pluszu.

N. 18. Aplikacya na pokrycie mebli, poduszk do kanapy i t. p.

Piękny deseń w guście renaissance, naśladowany jest ze starożytnego skórzanego obicia hiszpańskiego z XVII wieku. Kolor i materyał na tło i aplikacyę dobiera się odpowiednio do celu na jaki robota ma służyć, lecz do aplikacyi koniecznie

N. 10 — 13. Serwetki małe zwane doilies.

Używane i przy nakryciu do herbaty lub przy podaniu owoców, robią się z płótna białego lub zółtawego i liczą w kwadrat 22 c. a brzegi mają wysiepane na 3 cent. Kolorowe szlaczki wyszyte z brzegów ściegiem jednakowym na dwie strony podają ryc. 12—13.